

KAMENA

LUBLIN 30 XII 1973 Nr 26 (538)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Co ma myśliwy z polowania?

Tadeusz Graba

— Huff, huff, huff, proszę pana, szczerzą na wiika, tauff, tauff, tauff, proszę pana, ogłaszają dzika, a we-wie, a we-wie, proszę ja pana, gonią lisa — wyprostował się starszy pan, znajomy myśliwy, zgasił resztki ognia w oczach, pogłaskał zdenerwowanego doga i siadł ciężko, wyczerpany tą spontaniczną demonstracją zawodowych umiejętności psiej sfory, wspierającej myśliwych na polowaniach. Przekonał mnie: łowiectwo to potęga!

N IEMAL każdy z malarzy dziewiętnastowiecznych popisał obraz na temat polowania. Alfred Wierusz Kowalski pozostawił dziesiątki płócien, na których dziełni myśliwcy uciekają przed wilkami, aby wkrótce wziąć srogi odwet, zadumać się przy czerwonym ognisku, jaśniejącym wśród niebieskich śniegów, policzyć trofea. Uwieczniali polowania Kossakowie, Falat, Chełmoński, sporo czasu i energii twórczej poświęcił im Maksymilian Gierymski. Nawet dzisiaj, kiedy artyści spoglądają w inne rejony rzeczywistości, odbywają się „wystawy współczesnej sztuki łowieckiej i animalistycznej”, czego przykładem

Dokończenie na str. 9



MÓJ ROK 1973

Tym razem sami o sobie
str. 6-7

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

ŻYCZY REDAKCJA

Z włóczęgi po Europie ⁽⁷⁾ OD WENECJI DO WERONY

Krzysztof Janowicz

P RZED katedrą w Pizie stoi facet w mundurku i patrzy w dół. Zdawałoby się, iż cierpi na kompleks niższości, który nie pozwala mu spojrzeć ludziom w twarz. W pewnym momencie ożywia się niesłychanie. Wyrzuca z siebie potok melodyjnych słów i podnosi rękę gestem typowym dla policjantów, regulujących ruch. Nic dziwnego — facet w mundurze też reguluje ruch. Tyle, że w nader specyficzny sposób. Zatrzymane jego gestem młode dziewczę, zmierzające do katedry w towarzystwie zażywej ma-

trony, absolutnie nie wie o co chodzi. Dziewczę i matrona są turystkami austriackimi, nie rozumiejącymi, sądząc z osłupienia malującego się na ich twarzach, ani słowa po włosku. Jakiś litościwy dżentelmen o wyglądzie lorda tłumaczy w czym rzecz i natychmiast wszystko się wyjaśnia. Facet w mundurze nie cierpi na żadne kompleksy. Nie patrzy w twarz po prostu z tego powodu, iż do jego zadań należy patrzeć na nogi. Jeśli uzna,

Dokończenie na str. 4

O JULIANIE TUWIMIE

D ROGA do poezji Juliana Tuwima prowadzi nie tylko przez 20 lat dzielących współczesność od jego śmierci, nie tylko przez okres okupacji, który poeta spędził na obczyźnie (Rumunia, Francja, Portugalia, Brazylia, Stany Zjednoczone), ale przede wszystkim przez wielkość poetyk obcych autorowi „Rzeczy czarnoleskiej”. Szczyt jego popularności to wczesne lata trzydzieste, a więc okres przed wpływami awangardy, która wprawdzie narodziła się w teoretycznych artykułach Peipera z lat 1922–1927, ale swoje zwycięstwo zadokumentała dopiero „Równaniem serca”. Przybysia z roku 1938. Stworzyć akustykę dla głosu Tuwima dziś, to przede wszystkim

W żywiolenie słów

Zygmunt Mikułski

wyciszyć, rozgwar kierunków wyrosłych z orientacji postkubistycznej, postawangardowej, konstruktywistycznej.

Zaczął się w roku 1916, a więc kiedy poeta miał lat 22. Na uniwersytecie warszawskim, gdzie po wyjeździe z rodzinnej Łodzi (bardzo krótko) studiował, znalazła się grupa młodych pisujących wiersze, nie mających natomiast gdzie publikować. Tak powstało pismo „Pro arte et studio”, które z czasem utraciło drugi trzon tytułu, poprzestając na „Pro arte”. Dla ścisłości trzeba dodać, że nie tam nastąpił debiut Tuwima. W roku 1911, czasopismo „Poła Esperantisto” zamieściło jego przekład wiersza Staffa „W jesiennym słońcu”, — w języku espe-

ranto, pierwszy natomiast, jego utwór oryginalny ukazał się — pod kryptonimem. Był to wiersz „Prośba” podpisany inicjałami St. M. (od imienia i panińskiego nazwiska przyszłej żony), a wydrukowany w „Kurierze Warszawskim” 6 stycznia 1913 roku.

Już wówczas stał się Tuwim sprawcą ożywionych polemik, a rola ta towarzyszyła mu do końca międzywojennego dwudziestolecia. W „Pro arte et studio” opublikował mianowicie wiersz „Wiosna”, posiadający elementy prowokacji zawartymi w nim

Dokończenie na str. 3

W którym żyjemy

KRYZYS ENERGETYCZNY

7 i 30 PROCENT

Po wyborach

P IOTR Karpiuk, I sekretarz KW PZPR, został wybrany przewodniczącym WRN w Lublinie, natomiast Mieczysław Stępień, I sekretarz KM PZPR — przewodniczącym MRN w Lublinie. Na stanowisko wojewody lubelskiego powołano Ryszarda Wójcika, a na stanowisko prezydenta Lublina — Stanisława Bore.

Pierwsze sesje nowo wybranych rad narodowych miały bardzo uroczysty przebieg. Na sesji WRN programowe przemówienie wygłosił Piotr Karpiuk. Podkreślił on, że w obecnej kampanii wyborczej komisje porozumiewawcze partii i stronnictw politycznych oraz Komitety Frontu Jedności Narodu szczególnie zajęły się starannym doбором kandydatów do rad narodowych wszystkich szczebli. Myślą przewodnią było dążenie do tego, aby w nowych radach znaleźli się producenci robotnicy i rolnicy, wyróżniający się osiągnięciami zawodowymi i społecznymi pracownicy oświaty, kultury, nauki i techniki, działacze samorządu mieszkańców, organizacje społecznych, kobiece i młodzież. Jak niedługo dotąd, dużą wagę poświęcono zapewnieniu wśród radnych szerokiej reprezentacji ludzi bezpartyjnych.

Przy urnach wyborczych w dniu 9 grudnia stanęło 99,1 proc. uprawnionych do głosowania mieszkańców województwa, z tego 99,7 proc. ważnych głosów oddano na listy FJN. Tak wysoka frekwencja i taka akceptacja kandydatów na radnych stanowi jeszcze jeden wyraz aktywnego poparcia przez społeczeństwo lubelszczyzny polityki nakreślonej przez VI Zjazd PZPR.

Stała troska o wzrost produkcji rolnej, dalszy rozwój drobnej wytwórczości i usług, usprawnienie pracy handlu i gastronomii, lepsza organizacja wypoczynku ludzi pracy, sprawna realizacja programu budownictwa mieszkaniowego, lepsze koordynowanie i dokończenie procesów inwestycyjnych, przygotowanie do pracy wysokokwalifikowanych kadr — to podstawowe zadania nowo wybranych rad. Ale rady mają również współdziałać w wychowaniu młodzieży w duchu patriotyzmu i internacjonalizmu, podejmować kroki na rzecz poprawy ochrony zdrowia, a także nie tracić z pola widzenia problemu rodziny — tej podstawowej komórki społeczeństwa.

Piotr Karpiuk mocno podkreślił: „Jeszcze skuteczniej niż dotąd troszczyć się będziemy o ludzi pracujących w swoich zawodach i środowiskach, o zaangażowanych działaczy społecznych, ściśle przestrzegając będziemy zasady — niewątpliwie należy się temu, kto najwięcej daje społeczeństwu”.

Oczywiście na lubelszczyźnie szczególne znaczenie ma rozwój rolnictwa. Cieszy nas jeszcze olbrzymie rezerwy. Należy podjąć kroki mające na celu wzrost plonów zbóż, zmierić strukturę zasiewów (więcej pszenicy i jęczmienia) oraz zwiększyć hodowlę młodszego bydła rzeźnego, energicznie przeciwdziałając ubożowi cieląt.

Zwracamy się — powiedział przewodniczący WRN — do wszystkich rolników, prowadzących hodowlę, by na 30-lecie Polski Ludowej mogli dodatkowo wyhodować przynajmniej jedną sztukę młodszego bydła”.

Rok 1973 lubelszczyzna żegna dodatkową produkcją przemysłową wartości ok. 2,7 mld złotych. Zadania swoje przełożyła i budownictwo, które odła ponad plan 530 mieszkań. O 14 proc. wzrosły obroty handlu, o ponad 12 proc. będą wyższe dochody ludności.

W przyszłym roku czekają nas nowe zadania — trudne i napięte. Ich powodzenie zależne jest w dużej mierze od zaangażowania wszystkich mieszkańców lubelszczyzny, od sprawnego funkcjonowania rad narodowych.

STANOWIMY — pisał ostatnio korespondent Associated Press — jedynie 7 procent ludności świata, a zużywamy 30 procent światowych zasobów energetycznych...

Korespondent zwrócił uwagę na fakt, że kryzys energetyczny „czaił się już w rzeczywistości od 25 lat jak krokodyl czyhający na ofiarę. My tymczasem szliśmy ciemną, ślepią uliczką, ignorując tych, co idą za nami. Stany Zjednoczone weszły w tę ślepią uliczkę około 1947 roku, kiedy z rozrzutnością utracusza, który wygrał miliony w Las Vegas, rzuciły się w wir koniunktury budowlanej i stalego wzrostu zakupów, sprawiając, że konsumpcja energii zaczęła wyprzedzać produkcję rodzimą”.

Po decyzjach krajów arabskich w sprawie 17 procentowej obniżki eksportu ropy naftowej, Stany Zjednoczone podjęły szereg drastycznych decyzji. Coraz poważniej traktuje się sprawę wprowadzenia jeszcze w tym roku racjonalizacji benzyny. „Gdyby to się stało — stwierdził korespondent AP — uległby przyhamowaniu wiosenne i wakacyjne podróże. Ci, którzy będą chcieli wybrać się gdzieś dalej, będą się musieli zastanowić, czy dojadą, bowiem ze względu na ograniczoną szybkość mogą nie zdążyć”.

Ala nie koniec na tym. Administracja USA chce skłonić posiadaczy mieszkań prywatnych do zmniejszenia temperatury pomieszczeń o 6 stopni, a budynków publicznych o 10 stopni. Zużycie paliwa na cele przemysłowe ma być zmniejszone o 10 proc., zużycie zaś paliwa w lotnictwie — o 15 proc. Zmusi to do ograniczenia komunikacji.

Trudno w tej chwili zdać sobie jeszcze w pełni sprawę z konsekwencji jakie wywołają w USA decyzje krajów arabskich. Herbert Stein, przewodniczący rady doradców ekonomicznych prezydenta, uważa: „Nie ma wątpliwości, że skutkiem posunięć krajów arabskich będzie zmniejszenie wydajności przemysłu, zwiększenie bezrobocia i cen. Nie jest jedynie w tej chwili wiadome, jakie będą rozmiary tych zjawisk”.

TYMCZASEM W NRF...

Tymczasem w NRF rozważa się problem, jak kryzys energetyczny może się odbić na produkcji samochodów. „Die Welt” pisała w związku z tym: „Podczas gdy w niedzielę właściciele samochodów z melancholią próbowali spacerować pieszo, kilka tysięcy drobnych przedsiębiorców mozolnie opracowywało na wszelki wypadek programy kryzysowe: kierownicy niemieckich (NRF) zakładów naprawy samochodów, a wśród nich przewodniczący ich związków. Binnenbruecker, mówili z lekkim o poważnym smądkiem zamówień, który przypadnie powszechnie na poniedziałek każdego tygodnia, tj. na dni znane jako najbardziej obfitujące w takie zamówienia, gdyż właśnie w niedzielę zdarza się natłoczenie nieszcześliwych wypadków samochodowych. Otóż istotnie w ten poniedziałek na podwórzach warsztatów naprawczych panowała kompletna pustka”.

„Die Welt” zwróciła też uwagę na fakt, że również sprzedawcy aut i opon, agenci ubezpieczeniowi i fabrykanci części zamiennych obawiają się o stan swych obrotów i swą egzystencję.

Wilhelm Becker, główny dyrektor duesseldorfskiego towarzystwa „Auto-Becker”, skierował list do ministra gospodarki NRF. „Jeśli dziś — czytamy w tym liście — mówi się o galęziach przemysłu odczuwających trudności, to na pierwszym miejscu należałoby postawić handel samochodami. Nie jest to wykluczona wręcz katastrofalna sytuacja. Działający problem polega na tym, że nikt nie myśli teraz o kupnie auta”.

...I W INNYCH KRAJACH

A jak kryzys energetyczny odbija się na gospodarce i codziennym życiu innych krajów kapitalistycznych? Amerykański tygodnik „Newsweek” dokonał interesującego przeglądu.

Włochy pokrywają za pomocą importowanej ropy naftowej około 75 proc. swego zapotrzebowania na energię. Kry-

zys zmusił już wiele włoskich zakładów przemysłowych do ograniczenia godzin pracy. Trudności w zaopatrzeniu w materiały pędne zatrzymały w portach wiele kutrów rybackich i sparaliżowały maszyny rolnicze. Sprzedaż Fiatów w Europie spadła już o 65 proc.

W obliczu poważnych trudności znalazła się Japonia. Gdyby ograniczenie dostaw ropy naftowej przeciągnęło się na cały rok 1974, to narodowy dochód brutto Japonii zmniejszy się o 5,5 proc. Zagraniczni kupcy już zaczęli masowo odwiedzać biura japońskich producentów opon, stali, sztucznych włókien oraz produktów chemicznych, zapytując, czy zawarte przez nich kontrakty będą honorowane. Ograniczenie produkcji przemysłowej już spowodowało wstrząs na giełdzie japońskiej: kursy akcji spadły do najniższego poziomu.

Gwałtowny wzrost kosztów energii szybko wyczerpuje japońskie rezerwy złota i dewiz, które spadły z 19 mld dolarów w lutym br. do 14 mld w końcu października br. „Nasza gospodarka rozwijała się — stwierdził prezes jednej z największych japońskich stalowni — w oparciu o ropę naftową, której cena wynosiła 3 dolary za jedną baryłkę. W jaki sposób możemy przetrwać, jeśli cena ta podskoczyła do 5,7, a nawet... 10 dolarów za baryłkę?”.

Podobne obawy dręczą i Wielką Brytanię. Niektórzy ekonomiści przewidują, że produkcja przemysłowa tego kraju spadnie do najniższego poziomu od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Nawet w przypadku, gdyby Wielka Brytania zdołała w jakiś sposób zabezpieczyć swe potrzeby w zakresie ropy naftowej, to wzrost cen paliw płynnych spowoduje zwiększenie się chronicznego deficytu bilansu płatniczego tego kraju o ponad miliard dolarów.



Amsterdam. Ta sama ulica w niedzielę i w poniedziałek...

Od 16 już lat wychodzi w Kijowie miesięcznik „Wseswit”, poświęcony literaturze i kulturze innych narodów. Poszczególne numery tego bardzo poczytnego czasopisma zawierają tłumaczenia utworów literackich z różnych języków, artykuły, reportaże i recenzje.

W ostatnich dwóch numerach (wrześniowym i październikowym) znajdujemy m. in. tłumaczenie nowej powieści Juliana Kawalca „Wolanie”. Kawalec jest już znany czytelnikom w ZSRR, a szczególnie na Ukrainie, gdzie nie tak dawno ukazał się w tłumaczeniu „Tancerz Jastrząb”.

„Wseswit” drukuje też reportaż Moniki Warmenkiej „Do Hanoi przez Kijów”, w którym polska autorka przedstawia szereg interesujących uwag i wspomnień o ludziach i kulturze Kijowa.

Miesięcznik kijowski bacznie obserwuje również prace pisarzy ukraińskich, które ukazują się w innych językach. I tak zwraca uwagę na polskie tłumaczenie powieści Jurija Szerbaka pt. „Transplantacja”, która ukazała się nakładem PIW-u. Tłumaczył ją St. Edward Bury.

„Wseswit” odnotowuje również fakt ukazania się nowego wydania polskich tłumaczeń poezji Tarasa Szewczenki w serii „Biblioteka poetów” (LŚW, W-wa 1972). Wiersze wybrał i słowo wstępne napisał Jerzy Ję-



drzejewicz. Ten nowy zbiorek (w sumie 15 wierszy) świadczy — jak pisze B. Czajkowski — „o nieustannym zainteresowaniu polskich poetów-tłumaczy twórczością nieśmiertelnego Szewczenki”. Wskazania też o tym, że Polacy pierwsi zaczęli tłumaczyć Szew-

czenkę (H. Sowiński, W. Syrakomla, A. Gorzałczyński), jeszcze za życia poety.

Z B. Czajkowskim nie można się jednak całkowicie zgodzić, kiedy pisze on, że „w okresie tak zwanego dwudziestolecia międzywojennego niewiele zrobiono w zakresie popularyzacji twórczości Szewczenki, chociaż w owym czasie do muzyki polskiej Szewczenki powracali tacy znani poeci i tłumacze, jak J. Iwaszkiewicz, B. Zygmunt, Cz. Jastrzębiec-Kozłowski”.

Tu warto przypomnieć, że jeszcze w 1921 r. ukazał się w Warszawie zbiorek poezji Szewczenki w wyborze i układzie znanego poety ukraińskiego, M. Woronyśa, a w 1921 r. wyszło osobne wydanie trzech poematów Szewczenki w przekładzie E. Wyłomowskiej. W latach trzydziestych w Warszawie ujrzało światło dzienne wybitne wydanie twórczości Szewczenki, XIV we wydanie twórczości Szewczenki, z tym tego wydania zawierał najpełniej i z dotychczasowych zbiorów przekładów poezji Szewczenki na język polski z podsumowaniem polskich tłumaczy i z danymi bibliograficznymi. Prawie to samo wydanie ukazało się jako osobna książka w 1958 r. „Taras Szewczenko, Poezje”.

M. L.

motywami społecznymi, popartymi dość jak na owe czasy swobodnym obrazowaniem. Na łamach prasy warszawskiej wybuchła tzw. „Wojna o Wiosnę” tym bardziej, że wiersz posiadał nieukryte powinowactwa z poezją Rimbauda powstałą po upadku Komuny Paryskiej.

To wszystko nie wystarczało jednak dla zadokumentowania nowej grupy i nowej poezji. Pierwszy krok — zwrócenie uwagi — był postawiony, następnie należało postawić. Był to w ogóle czas ataku sztuki na szerokie środowiska odbiorcze, czas „wyjścia na ulicę”, nie bez pewnej więc analogii z praktyką ruchu artystycznego w Rosji, Tuwim wraz z grupą kolegów założył kawiarnię poetów „Pod Pikadorem”. Kawiarnia — zwana też kabaretem — została otwarta 29 listopada 1918 roku przy ulicy Nowy Świat 57 w Warszawie (następnie przeniesiona do hotelu Europejskiego). W przeciwieństwie do elitarnych kabaretów artystycznych (np. „Zielony balonik”) posiadała charakter demokratyczny. Odbywały się tam wieczory poetyckie i burzliwe dyskusje, ataki światoburcze i ekstrawaganckie eskapady intelektualne, wszystko przepojone młodzieńczym temperamentem i dowcipem ludzi, którzy poparli inicjatywę Tuwima. Było ich czterech: Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński i Jarosław Iwaszkiewicz.

Zowodzenie „Pikadora” — inicjatywy bardzo popularnej i bulwersującej artystyczne środowisko stolicy, ale jeszcze bez zdecydowanej podstawy organizacyjnej — dało asumpt do założenia grupy poetyckiej „Skamander”. Z czasem też powstał miesięcznik o tej nazwie, a jego imieniem można zatytułować rozdział polskiej poezji nie tylko międzywojennego dwudziestolecia. Oprócz wymienionych, zgrupował szereg pierwszoplanowych nazwisk ówczesnego życia literackiego w Polsce — oczywiście z wyłączeniem autorów należących do ideowo-artystycznej opozycji.

Lata 1918—1926 to dominanta nastroju, który określano mianem witalistycznego optymizmu. Miał on dwa źródła. Pierwsze — to młodość państwa, drugie — młodość poetów. Tuwim w tym czasie wydał pięć zbiorów poezji: „Czytanie na Boga”, „Sokrates tańczący”, „Siódma jesień”, „Czwarty tom wierszy” i „Słowa we krwi”. W którym miejscu na mapie ówczesnych zjawisk poetyckich umieścić jego twórczość? Można mówić o zerwaniu z tradycją młodopolską (aczkolwiek pewne związki, na przykład operowanie nastrojem, pozostały), o przejęciu od Staffa zainteresowania powszedniością, o wpływie rosyjskiego symbolizmu i futurizmu, a nawet niemieckiego ekspresjonizmu, o oddziaływaniu Whitmana i Verhaerena, o infiltracjach ówczesnej myśli filozoficznej (np. intuicjonizm Bergsona), ale niepotrzebne są takie poszukiwania. Był to czas przede wszystkim wzmoczonego naporu teraźniejszości, a tak się złożyło, że pojawiło się wówczas szereg wybitnych indywidualności o podobnym odczuwaniu, u których Tuwim znajdował potwierdzenie i doping. Jakkolwiek późniejsze drogi skamandrytów rozeszły się, grupa pozostała przykładem korzyści wynikłych z zespolenia przez traf czy zrzadzenie losu wielkich talentów w jednym miejscu i czasie.

Nie zawsze jednak w twórczości Tuwima dominował ton beztrudnej i euforycznej afirmacji życia. Po fascynacjach młodości przyszedł nierazko zaprawione gorczą doświadczenia wieku dojrzałego. W latach 1926—1939 poeta wydaje trzy zbiory liryków: „Rzecz czarnońska”, „Biblia cygańska” i „Treść gorejąca”. Dochodzi nurt klasyczny pod postacią recepcji i reminiscencji z Kochanowskiego, romantyków, Norwida, znajdują się echa horacjańskie. W tym okresie specjalnej wyrazistości nabierają eksperymenty filologiczne, wynikłe z zainteresowania słowem jako głównym składnikiem materiału poetyckiego. Zanika też, zachodzi cieniem dawny młodzieńczy optymizm, pojawiają się zna-

W żywioleniu słów

mienne akcenty społeczne wynikłe z ostrego widzenia ówczesnej rzeczywistości politycznej. Znaczną „kariere” zrobił wówczas wiersz „Do prostego człowieka”, zawierający akcenty pacyfistyczne, a przyjęty przez koła rządowe jako podważanie uczuć patriotycznych. Sam autor był nieraz adresem pogroźek z różnych stron.

Na emigracji Tuwim — co rozluźniło, a nawet w niektórych wypadkach zerwało jego związki z dawnymi skamandrytami — swą polityczną orientację jeszcze bardziej nasycił pierwiastkami lewicowymi. W Stanach Zjednoczonych nawiązał współpracę z grupą działaczy demokratycznych skupionych wokół Oskara Langego, rozwinął działalność propagandową na rzecz przyjaznych stosunków

zmarł 27 grudnia 1953 r. — poświęcił na prace nad literaturą polską oraz nad przekładem z języków narodów radzieckich.

Jakie jest miejsce Tuwima w tradycji literackiej? Było to kiedyś nazwisko — hasło wywoławcze dla wrażeń świeżości i oryginalności, nie pozbawionych również domieszkami sensacji, jaką wytwarzała ta żywa postać. Przede wszystkim dlatego, że Tuwim wkroczył w polską poezję z impetem nowatora rewolucjonizującego tematykę, środki wyrazu, stosunek do wiersza. Po wtóre — przez jego wielostronną aktywność. Pisał nie tylko liryki, ale również satyry, libretta do operetek, kabaretowe monologi, teksty piosenek, wiersze dla dzieci. Dokołańcał wielu przekładów i adaptacji. Posiadał pasję



Fot. CAP

Polski ze Związkiem Radzieckim, jeszcze z Brazylii w roku 1941 wysłał telegram do Ilji Erenburga z wyrazami głębokiego przekonania o zwycięstwie Armii Czerwonej.

W roku 1946 wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie. Wydał tam napisany na emigracji tom pierwszy niedokończony poematu „Kwiaty polskie”, wiele przekładów z rosyjskiego, antologii, szkiców i wariów, jak „Księga wierszy polskich” (współ z J. W. Gomulickim), „Polska nowela fantastyczna”, „Cztery wieki fraszki polskiej”, „Cicer cum caule”, „Pegaz dęba”. Ostatnie lata życia —

zbieracza kuriozów. Ale nade wszystko — porywał go żywioł słowa. Wszystko co w słowie było dziwne, fantastyczne, a nawet ekstrawaganckie. Tym się tłumaczy nadmiernie częste rozwichrzenie jego wypowiedzi lirycznej, brak w kompozycyjnej dyscyplinie wiersza. Były także. Miłośnikom tej poezji nieraz zbyt natrętna wydawała się nieopanowana galopka słów wpadających nawet w zwykłą katarzynkę. Ale też mury i przekonujące przykłady tej inwencji słowotwórczej, jaką wykazał autor „Sto-piewnie”.

Zygmunt Mikulski

Julian Tuwim

OCZEKIWANIE

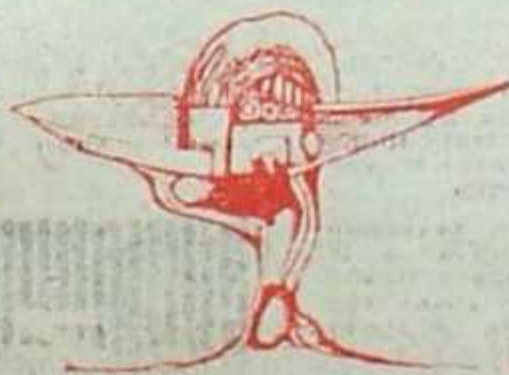
Zażenowany tym anielstwem
Udaję (dóść źle) człowieka.
I serce, aż nieludzko czerstwe,
Zaczynam w samotności. Czekam.

Znam ewangelię i nieszczęście,
Narodów tętent, szepty kobiet
I starość słów, i snów poczęcie,
I wina czad, i kwiat na grobie.

I ducha znam, co bez wcielenia
Na ziemi jest jak głoska głucha,
I ciała — nie do pomysłenia
Bez łaski i świętego ducha.

Czekam. W przypływie i odpływie
Kołysze się daleki poszum,
I dzień po dniu, jak dziw po dziwie,
Wybuchają płaczem lub rozkoszą.

Wybuch kwieciami jak gałęzie,
Odfurwa ptactwem gołębianem.
Ach, moje wiersze niespodzianek
Ach, moje życie, co to będzie?



Rys. D. Opolski

T E C C O N I A

W imię ojca i syna, z których się duch poczyna,
Opowiadajmy dzieje,
Ojciec chmurzyska ganiął, mroczne bydło poskramiał
I kosmate żawieje.

Ugory nocne orał, z czarniuchami się porał,
Karczował uroczyska,
Straszny był, niewidomy — i gromy-niebołomy
W otchłanie miał z pyska.

Przez maczary ciemności brnął w zawziętej pewności,
Ze praca niedaremna.
Wyl, huczał maławiele: miliard lat; aż w niedzielę
Siłgowała moc, ciemna.

Stary się spać zawałił, a już Młodzianek w dali
Przeswitywał złotawie.
Rumieńcem plonił wody, nazieleniał ogrody
Ku onej przyszłej sorawie.

Nazieleniał, rumienił, promieniował, blaskiem mienił,
Jak to do dzisiaj czyni.
Światłość ciepłą nasila — i fala się rozchyła,
I wypływa bogini.

W imię ojca i syna, z których się duch poczyna,
Opowiadajmy dzieje.
Kwiat pachnie, słońce świeci, rodzice miłują dzieci
I dziewczyna się śmieje.

CZY LUBLIN MUSI BYĆ BRZYDKI?

Ryszard Dunin

PRZYSŁUCHIWAŁEM się dość sprzecznym uczuciem dyskusji w czasie wojewódzkiej inauguracji roku kulturalno-oświatowego w tzw. sekcji twórczej. Pomijam tu fakt całkowitej absencji w dyskusji środowiska literackiego; chodzi mi głównie o zarysowanie się pewnych tendencji dotyczących środowiska plastycznego.

Rozumiem że artysta plastyk posiada prawo do obrony indywidualności przeżytej twórczości, że niekoniecznie powinien w sposób publiczny prezentować momenty narodzin dzieła i że na pewno nie musi „opowiadać” o tym, jak tworzy, bo przecież tego opowiedzieć się nie da. Z dyskusji wynikało jednak, że są pewne sprawy, które do-

magają się głębszej analizie i przemysłu. Chodzi mi głównie o element jakiegoś rozgryzienia. Zachodzi pytanie — dlaczego ono powstało? Wydaje mi się, że rozgryzienie to wynika po prostu z faktu, iż twórczość artystyczna nie posiada w naszym mieście odpowiednio wysokiej roli i rangi społecznej. Obiegowe propozycje, jakie tu i ówdzie kieruje się pod adresem tego środowiska, nie obejmują na ogół istoty problemu, jakim jest społeczna konieczność podjęcia w pełni zorganizowanego współdziałania artystów ze środowiskiem urbanistów, kształtujących przecież na rzecz formowania środowiska zurbanizowanego wygląd naszego miasta. Lublin ma bardzo zdolnych urba-

nistów, ale ich kontakt z plastycznymi jest niemal zerowy. Miasto nasze tworzy całkowicie nowe rejon architektoniczne, ale bez konsultacji z artystami, bez ich udziału w formowaniu wizji i koncepcji tych rejonów, a i głębiej — wnętrzy osiedli i ich obrzeży, małej architektury, placów zieleni, placów rekreacyjnych, placów zabaw itp.

Jest to oczywiście problem niezwykle złożony, a więc trudny. Nie oznacza to jednak, iż wynikające stąd kwestie należy pozostawić dotychczasowemu biegowi. Odwrótnie — trzeba w Lublinie zatroszczyć się o to, aby powstały w mieście rzetelne ramy organizacyjne, obejmujące stałość świadczeń artystycznych lubelskich artystów na rzecz szeroko pojętego środowiska człowieka.

Jest rzecz bezdyskusyjna, iż w naszym zespole artystycznym istnieje ogromne zasoby energii twórczej, których właściwe wykorzystanie staje się nakazem chwili. Chodzi tu nie tylko o dokończenie ręki artysty w dzieło ogólnego podniesienia wyglądu estetycznego naszego miasta, ale jednocześnie o potrzebę pełnego zaktualizowania samego środowiska twórczego. Walka z szarym ulic i nieporadnością zieleni miejskiej, zabiegi o ożywienie naszych placów i zaułków, ciągów ulicznych i arterii komuni-

kacyjnych — wszystko to wymaga dziś twórczej inicjatywy lubelskich artystów. Zaprzyjmy jednocześnie do naszych osiedli mieszkaniowych. Czy tutaj nie ma do zrobienia? A gdyby tak np. lubelski twórca zajęł się plastycznym kształtowaniem obrzeży tych osiedli, gdyby wprowadził na place i placzki odpowiednie formy przestrzenne czy rzęsby? Gdyby wreszcie zlecono im opracowanie rozwiązań lub wizji artystycznych dla praktycznego zagospodarowania wawozów „osiedlowych”, istniejących naturalnych konfiguracji terenu i zaadaptowaniu ich dla potrzeb naturalnego środowiska człowieka?

Jeśli rzeczywiście pragniemy przybliżyć prawdziwą sztukę do przeciętnego mieszkańca naszego miasta, to dokonanie tego możemy nie poprzez wąską działalność wytwórczą i opowiadanie o sztuce, ale przez pełne wyzucie twórczości artystycznej na ulicę i place Lublina, na ciąg komunikacyjny i większe lub mniejsze zespoły przestrzenne.

W związku z tym wydaje się rzecz konieczna aby:

- artysta plastyk miał rzeczywiste prawo głosu przy planowaniu rozwiązań architektoniczno-urbanistycznych w naszym mieście;
- aby jego wypowiedź liczyła się przy projektowaniu zieleni miejskiej, obrzeży osiedli i za-

gospodarowania przestrzennego ich wnętrzy;
— aby artysta-plastyk mógł dochodzić do głosu przy kształtowaniu otoczenia każdego z nas powstającego w Lublinie zespołu architektonicznego oraz w doborze i opracowaniu odpowiedniej informacji wizualnej (dotyczy to może m. in. problemu w architekturze oraz artystycznych wizji przestrzeni miejskiej);
— aby twórca mógł wypowiedzieć się i podjąć współdziałanie w likwidacji wszelkiego rodzaju pustych, ślepych lub po prostu brzydkich ścian eksploatowanych aktualnie budynków mieszkalnych i obiektów użytkowych. Wprowadzenie tam elementu sztuki pozwoliłoby na radykalną zmianę (a była to dziedzina naszego miasta).

Wymienione tu przykładowo kierunki współdziałania z lubelskim środowiskiem plastycznym ze strony władz miejskich, zarządów spółdzielni mieszkaniowych, Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych oraz pozostałych zakładów pracy, a także zespołów urbanistów i biur projektowych mogłyby w perspektywie kilku lat zaowocować w całej krainie. Polityka otwarcia drogi do tej współpracy powinna stać się integralną częścią wszelkich zamierzeń i poczynań urbanistycznych w Lublinie.
Bo Lublin nie musi być brzydki!

OD WENECCJI DO WERONY

Dokończenie ze str. 1

ze któraś spódniczka jest zbyt krótka, nie wpuszcza jej właścicielki do katedry. Nie pomagają żadne argumenty. Nie pomaga nawet (o dziwo!) banknot, który zażywna matrona usiłuje wcisnąć cerberowi do ręki. Zapłonione dziewczę odchodzi, a matrona — klnąc pod nosem (nieprzystojny to odruch w tak świętym miejscu) wchodzi samotnie do świątyni.

Kilkakrotnie byłem świadkiem takich scen, dwa razy wszelako skrupiło się to na mnie. Po raz pierwszy w Wenecji, kiedy to miejscowy cerber zagroził mi drogę do katedry, ponieważ byłem w szortach (stróż moralności patrzy z równym zainteresowaniem na nogi kobiet i mężczyzn. Oczywiście — zainteresowaniem zawodowym). W rezultacie tych sankcji nie wiem, jak wygląda wnętrze weneckiej katedry. Po raz drugi tego typu siurpriza spotkała moją towarzyszkę życia w Mediolanie. Tym razem nie chodziło o mini, lecz o zbyt — zdaniem cerbera — obnażone ramiona. Znalazła się na to, na szczęście, rada. Wyciągnęłam z samochodu mój przeciwdeszczowy — nieco sfatygowany — ortalionik, żona otuliła nim ramiona i mogła bez obawy moralności przekroczyć próg Bożego Domu. Doświadczeni turyści i turystki zawsze mają w zapasie parę długich spodni (które wkłada się na szorty) lub sukienkę, przypominającą habit. Niedoświadczeni oglądają fasady...

FRYCOWE DLA FRAJERA

Do Wenecji dojeżdża się przez most, który liczy 43 lat i ma 4 kilometry długości. Jedzie się i jedzie, a końca nie widać. Wreszcie dalej nie można. Morze! U wylotu mostu policjanci rozdzielają potok samochodów. Jedni jadą w lewo, w kierunku Lido. Drudzy w prawo, gdzie lądują na parking — podobno na 30 tysięcy pojazdów. Nie liczyłem ich wprawdzie, niemniej jednak tak gigantycznego zbiorowiska samochodów nie dane mi było przedtem widzieć.

Tak to przynajmniej wyglądało w lecie bieżącego roku. Dzisiaj przedwenecki parking świeci niewątpliwie pustkami. I to nie tylko z uwagi na porę roku, ile — przede wszystkim — z uwagi na restrykcje benzynowe, które wymioliły z autostrad i z ulic miast samochody i zmusiły nieszczęsnych Włochów do korzystania z innych środków lokomocji, własnych nóg nie wyłączając. W ogóle Annus Domini 1973 przejdzie do annałów jako rok motoryzacyjno-turystycznej klęski. Naprzód strajk dzierżawców i właścicieli stacji benzynowych, potem epidemia cholery, a na ukoronowanie tych kataklizmów ograniczenie dostaw ropy naftowej.

Wrócmy jednak do Wenecji. Po ulokowaniu samochodu na parkingu-gigancie i wplaceniu 400 lirów — marsz w kierunku zatoki. Niedługo jednak idziemy samotrzeć. W pewnym momencie podskakuje do nas jakiś smagły weneccjanin i — wyrzucając z siebie lawinę słów — chwytając mnie, jako głowę rodziny, za rękę i gdzieś ciągnie. Tak długo ciągnie, aż znajdujemy się przed zgrabną, elegancką motorówką, do której jesteśmy dosłownie wpełchnięci. Smagły weneccjanin znika jak widmo, lecz w następnej sekundzie podchodzi do nas pan w admirałskim (co najmniej) mundurze, wręcza bile-

ty i inkasuje za nie należność, od której nafychmiast oko mi zbiegło. Co prawda we włoskim oryginalnie nazwa motorówki jest bardzo wdzięczna — motoscafi — niemniej jednak w najmielszych smach nie przypuszczałem, że krótka podróż z wybrzeża do Wenecji będzie trzykrotnie droższa niż opłata za 200-kilometrową autostradę.

Oczywiście, zostałem bezwstydnie nabyty w teltkę, a moja (i nie tylko moja, równocześnie ze mną wepchnięto do innych motoscafi kilka setek pasażerów) przygoda powinna służyć ku przestrodze innym. Nie tylko przy pomocy motoscafi można się bowiem dostać do Wenecji. Także przy pomocy pakownych statków, zwanych — równie wdzięcznie — vaporetto. Zasadnicza różnica polega na tym, iż bilet na vaporetto jest sześciokrotnie tańszy. Ot i wszystko. Rodacy, wybierający się w przyszłym roku do Wenecji! Unikajcie jak ognia motoscafi! Korzystajcie ze statecznych a dostępnych waszej kieszeni vaporetto! Wystarczy, że ja zapłaciłem frajerskie frycowe.

ROMEO I JULIA

Z Wenecją borykały się najtęższe pióra. Sam Most Westehnień stał się inspiracją do kilku tysięcy poematów różnej rangi. Nie mówiąc już o Placu św. Marka, o gondolierach („Ach, zejść do gondoli, kochanko ty maaa”), Canale Grande i kilkuset innych obiektach, z których chytrzy weneccjanie, nie mając już posiadłości zamorskich, ciągną niezły profit. Nie będę przeto opisywał tego, co można znaleźć w każdym przewodniku (tylko gdzie te przewodniki?).

Na mnie Wenecja wywarła jednak dość osobliwe wrażenie. Byłbym ohydny hipokryta, gdybym nie wyznał, że jest to miasto, zdolne wprawić w zachwyt. A jednocześnie działa przygnębiająco. Wiele przepięknych obiektów, co prawda, odrestaurowano z drobnozłotym pietyzmem (między innymi dzięki funduszom ONZ). Większość jednak napawa melancholią. Ściany domów nad kanałami pokrywają do pierwszego pietra zielone plamy wilgoci. Tynki odpadają. Niektóre kanały wręcz cuchną, a ogromna ilość kotów, wylegujących się w każdym zaułku, świadczy dobitnie o tym, iż myszy tu nie brakuje. Weneccjanie można przywrócić do pełnej świetności. Potrzeba tylko drobniutko: kilku miliardów dolarów. Sęk w tym, skąd je wziąć? Na razie zabezpiecza się najcenniejsze zabytki, usuwa najbardziej rzucające się w oczy zniszczenia. Przyjdzie jednak czas, kiedy te palatywy nie będą już wystarczać i generalny plan ratowania Wenecji stanie się palącą koniecznością. Miejmy nadzieję, że Włosi nie dopuszczą do tego, aby perła Adriatyku stała się zbiorowiskiem cuchnących i rozwalających się ruder.

Z Wenecji do Werony nie tak daleko. A Werona ma w każdym baedekerze trzy gwiazdki. Zasłużyła na to! Dostojne pamiątki pozostały tu już po starożytnych Rzymianach w postaci murów obronnych, łuku triumfalnego i amfiteatru, na którym Dante recytował „Boską Komedję”. Wystarczy dwa place: Piazza delle Erbe i Piazza dei Signori, aby ulec pięknu tego miasta. Każdy z nich posiada tak autentyczny urok średniowiecza, że turysta przeciera oczy ze zdumienia: skąd się tu wzięły samochody i reklamy Coca-Coli? A jest jeszcze potężny zamek równie potężnych (ongis) Scaligerów, którzy władali Weroną i okolicą. Są nieliczne kościoły, niektóre z nich sięgają V wieku.

No i jest balkon. A na balkonie stała swego czasu Julia, słuchając (z aprobatą) wynurzeń Romea. Zle się to wszystko dla młodej pary skończyło, ale Werona zyskała. Pod balkonem perma-

nentny tłok, a są i tacy, którzy przyjeżdżają do Werony tylko po to, aby postać sobie i pomarzyć pod balkonem. Osobliwie Angielki w wieku balzackim wrzuszają się do lez, a przestają płakać tylko po to, by przytknąć do oka filmową kamerę.

DUCE SIĘ KLANIA

Trzy są jeziora we Włoszech, które warto zobaczyć. Jedno zaś z nich (przynajmniej) musi się odwiedzić. Albo Lago Maggiore, albo Lago di Como, albo Lago di Garda. Ja widziałem Lago di Garda. Ze wszystkich stron. Jest to jezioro długie i wąskie. Im dalej na północ, tym woda zimniejsza. W Limone kąpać się mogą chyba tylko białe niedźwiedzie (choć widziałem zsiadłych z zimna ludzi, którzy udawali, że im ta kąpiel sprawia rozkosz).

Nad Lago di Garda bawiło wiele sławnych osobistości. Goethe (Johann Wolfgang) napisał w czasie wywczasów w Malcesine „Ifigenię”. Gabriele d'Annunzio wystawił sobie nad jeziorem pompacyjną i wyjątkowo niegustowną willę-monstrę, a właściciel zamek, łącznie z własnym mauzoleum. Malarze, uczeni, poeci obierali sobie Garda za cel wędrowek, przebywali tu na wakacjach, lub osiedlali się na stałe.

Bywali jednak i inni osiedleńcy. To właśnie w Salo utworzył Benito Mussolini, świeżo uwolniony przez znanego gangstera Skorzenego, swój „rząd”. Stąd też udał się w podróż, z której już nie wrócił, jako że trudno kontynuować wojażę, gdy się wisi za nogi, w dodatku z przestrzeloną głową. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, iż wszyscy Włosi z jednakowym zapalem przeklinają swojego eks-dyktatora. Wręcz przeciwnie. Przed katedrą mediolańską, na straganach florenckich i w licznych sklepach innych miast można za umiarkowaną opłatą nabyć popiersie duce różnej wielkości. Sądząc z masowości tej produkcji, cieszy się ona niezłym popytem. Być może, że głównymi odbiorcami są cudzoziemcy, traktując popiersie Benita jako suweniry. Przypuszczam jednak — na podstawie, chociażby, masowych napisów na murach, propagujących neofaszystowskie MSI — iż wytwórczość ta znajduje zbyt także i na rynku wewnętrznym.

Niedaleko jeziora Garda, a ściślej rzecz biorąc w pobliżu Mantui, wznosi się pomnik, który stanowi świetną odtrutkę na popiersie duce i na haselka MSI. Pomnik ku czci LUDZKOŚCI. W czerwcu 1859 roku rozgorzała pod Solferino wielka bitwa, w czasie której połączone armie francusko-sardyńskie pod wodzą Napoleona III rozgromiły wojska austriackie. Nie zwycięstwo jednej czy drugiej strony, ani też polityczne następstwa bitwy okazały się ważne. Ważny natomiast okazał się fakt, iż w bitwie tej uczestniczył (jako neutralny obserwator) Szwajcar Jean Henri Dunant. Okrucieństwo wojny, wstrząsający widok rannych, którym nikt nie udzielał pomocy, barbarzyństwo obu walczących stron natchnęły go pewną myślą. Późniejszymi owocami tej myśli było powstanie organizacji zwanej Czerwonym Krzyżem i podpisanie tzw. konwencji genewskiej.

Dziś na wzgórzach pod Solferino góruje pomnik, wystawiony w stulecie bitwy, czyli przed czterema laty. Pomnik na cześć Dunanta i jego idei. Część tego pomnika stanowi długi mur, na którym umieszczono tablice z nazwami państw — członków Czerwonego Krzyża. Jest wśród nich, oczywiście, i Polska. Szkoda, że tylko jedna bitwa miała taki epilog i szkoda, że tak niedaleko od tego pomnika humanitaryzm straszą podobizny zbrodniarza.

Krzysztof Janowicz

Rozterki ginekologa

Stanisław Burakiewicz

POZNALIŚMY się w pociągu na drugim końcu Polski. Każdy z nas mruknął pod nosem coś, co miało brzmieć jak własne nazwisko i część oficjalna została zakończona. Potem rozmawialiśmy. Najpierw o niczym, potem o wszystkim. W pewnej chwili korytarzem wagonu przeszła jakaś pani w widocznie zaawansowanej ciąży. Mój towarzysz pokręcił się nerwowo.

— Znajoma? — zapytałem.

— Ach, nie, chociaż w pewnym sensie wszystkie kobiety w ciąży są moimi znajomymi. W każdym razie mogą nimi być.

Towarzysz podróży, obserwując moją zapewne niezbyt mądrą minę, wyjaśnił:

— Widzi pan, jestem ginekologiem. Od kilku tygodni mam coś w rodzaju manii prześladowczej. Wydaje mi się, że każda kobieta w ciąży jest potencjalną samobójczynią. I że ja będę odpowiedzialny, jeżeli jej w tym skutecznie nie przeszkodzię.

— Nie rozumiem — wyznałem. — Przecież nikt z nas nie może być odpowiedzialny za osobiste losy ludzi nam nieznanymi, za decyzje, które podejmują bez naszego udziału.

W przedziale było nas tylko dwóch. Znajomy z pociągu usiadł głębiej, popatrzył na swoje wypięgnięte, niemal kobiece ręce i zaczął mówić, jakby zwierając się z myślą, które w widoczny sposób go gnębiły. Nie wyciągnąłem dziennikarskiego notosu, nie chcąc splotzyć rozmowy. Dlatego ta relacja jest pozbawiona specyficznych powieści, używanych w świecie lekarskim.

Mój rozmówca pracował w dużym szpitalu, położonym na przedmieściu jakiegoś większego miasta. Nie podał żadnych realiów, tak samo pominął wiele szczegółów, których ujawnienia zabrania mu etyka lekarska. Ale może właśnie dlatego przypadki, o których mówił, wydały się bardziej jaskrawe, jakby powtarzające, a przynajmniej mogące powtarzać się także w innych szpitalach.

Pewnej nocy na oddziale chirurgiczny szpitala przywieziono karetką pogotowia młodą kobietę, która usiłowała popełnić samobójstwo. Była nieprzytomna, występowały zapaści. Błyskawiczne badanie grupy krwi, transfuzja i szereg innych zabiegów. O tym zresztą dowiedział się dopiero następnego dnia, gdy miał dyżur na oddziale ginekologicznym.

Okazało się, że przyczyną samobójstwa była daleko zaawansowana ciąża. Już siódmy miesiąc. Pacjentka domagała się jednak stanowczo przerwania ciąży. Interniści początkowo nie reagowali, uważając owe natęrczywe żądanie za wynik szoku. Potem usiłowali jej wytłumaczyć, że tak daleko posuniętej ciąży nie przerywa się. Ale wtedy kobieta zagroziła: jeżeli nie usuniecie, popełnię znowu samobójstwo, już teraz skutecznie, mam praktykę!

Wyznanie brzmiało groźnie. Obok łóżka pacjentki posadzono pielęgniarkę, a ordynator oddziału wewnętrzny osobiście udał się do ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego i przedstawił mu całą sprawę. Zwołano coś w rodzaju nieformalnego konsylium. Niektórzy twierdzili, że pacjentka stosuje swego rodzaju szantaż, aby wymusić dokonanie przerwania ciąży, bo zaplątała się w jakieś skomplikowane układy w swoim środowisku i nie widzi innego wyjścia, ale przecież środowisko można zmienić itd.

Ginekolodzy wyjaśnili, że postęp medycyny umożliwia już dziś usunięcie tak bardzo zaawansowanej ciąży z bardzo dużym prawdopodobieństwem uratowania życia matki. I jeżeli wyrazi ona zgodę na piśmie, operację można by przeprowadzić. Gdyby więc groźbę samobójstwa traktować poważnie — a co najmniej lekkomyślnością byłoby traktowanie tej groźby niepoważnie — to prawie na pewno ocali się życie matki.

Ale jest i druga strona zagadnienia. Matka nosi w sobie już nie płód, ale człowieka. Żywego. Jest bardzo mała szansa, aby ocalić dziecko. Wprawdzie udaje się uratować dzieci nawet po pięciu miesiącach ciąży (łatwiej jest utrzymać przy życiu dziecko po siedmiu miesiącach niż po ośmiu), ale to nie są sprawy powszechne. Gdyby przeprowadzić operację i gdyby okazało się, że ten mały człowieczek nie jest jeszcze zdolny do samodzielnego życia, to albo któryś z lekarzy musiałby go zabić, albo zgodzić się na jego szybką śmierć naturalną z poczuciem, że jest współwinny, bo przeprowadził taką operację. A nawet jeśli dziecko uda się ocalić, to przecież kiedyś trzeba będzie wydać je matce. Matka zaś to niechciane, a nawet więcej niż niechciane dziecko, może później pozbawić życia.

Dyskusja w szpitalu trwała przeszło dwie godziny. Zasady etyki ogólnoludzkiej i etyki lekarskiej, przepisy prawne, argumenty z dziedziny filozofii i fizjologii — wszystko to dokładnie zanalizowano, zważono, skonfrontowano. Jednoznacznie odpowie-

dzi nie znaleziono. Ale ordynator oddziału ginekologiczno-położniczego musiał wydać decyzję, którą jego kolega z interny przekazał owej kobiecie. Najpierw postanowił więc w trybie nadzwyczajnym wystąpić do prokuratora o pozbawienie przyszłej matki praw rodzicielskich, ale to okazało się niemożliwe, bo dla prokuratora — jak i dla całego majestatu prawa — nie narodzone jeszcze dziecko nie mogło być ani przedmiotem ani podmiotem prawa. Ostatecznie więc zdecydował się na ustanowienie stałego dyżuru przy chorej aby w ten sposób uniemożliwić dokonanie ewentualnego samobójstwa. Nieco wbrew formalnym przepisom zatrzymał kobietę w szpitalu do czasu normalnego porodu, potem uzyskał od prokuratora decyzję o pozbawieniu matki praw rodzicielskich i po okresie rekonescencji zwolnił ją ze szpitala.

Tak się też stało. W chwili, gdy słuchałem tej relacji, dziecko — śliczne i zdrowe — chowało się w szpitalu, otoczone troskliwą opieką całego personelu. Ale co będzie dalej? I na to pytanie mój znajomy z pociągu nie miał odpowiedzi. Może znajdzie się ktoś, kto weźmie niemowlę na wychowanie, uzna je za własne? A jeżeli nie?

Milczeliśmy długo. Za oknami padał coraz bardziej gęsty śnieg. Wobec tej niezwykłej tragedii nie mogłem zdobyć się na żadne zdawkowe słowo, tym bardziej na żadną własną ocenę.

W pewnej chwili „mój” ginekolog wykonał nieokreślony ruch ręką i powiedział:

— Pan myśli, że tylko takie mamy dylematy? Życie ludzkie jest cholernie pogmatwane. Opowiem panu jeszcze jedną historię.



Fot. Archiwum

Leżący na przedmieściu szpitala znajdował się niedaleko dość popularnego w mieście ośrodka rekreacyjnego. W soboty i niedziele było tam pełno ludzi. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni co kilka dni powtarzała się ta sama historia. Potem w szpitalu trzeba było badać młode dziewczęta, czy nie popełniono na nich gwałtu. Jedne zgłaszały się same, inne przywoziła milicja, czasem matki lub ciotki, niezmiernie rzadko ojcowie. Nie gawszło, ale bardzo często ginekolodzy potrafili odpowie-

dzieć, czy defloracja nastąpiła rzeczywiście w wyniku gwałtu, czy też za zgodą zainteresowanej. Zresztą mają już taką praktykę, że właściwie nawet bez badania ginekologicznego mogą dać odpowiedź. Są w tej dziedzinie dość dobrymi psychologami i z zachowania się dziewcząt, ich odpowiedzi, niemal z wyrazu oczu potrafią odczytać, jak to było w rzeczywistości. Kłopot czasem tylko z tym, że w razie ewentualnej rozprawy sądowej ich odczucia nie wystarczają, co zresztą jest zrozumiałe. W sądzie bowiem liczą się tylko dowody.

Otóż pewnego dnia na oddział ginekologiczny zgłosiła się matka z 12-letnią córką, fizycznie rozwiniętą ponad wiek. Stanowczo i pełnym oburzenia głosem zażądała, aby wydać jej zaświadczenie, iż córka została zgwałcona. Powiedziano jej, że trzeba przeprowadzić badanie, które nie będzie przyjemne dla córki. Oburzyła się jeszcze bardziej twierdząc, że jej zapewnienia powinny wystarczyć. Ostatecznie bardzo niechętnie zgodziła się na badanie.

Już od pierwszej chwili lekarze mieli wątpliwości, czy matka mówi prawdę. Dziewczynka bowiem nie wykazywała żadnych objawów już nie tylko szoku, który musiałaby przeżyć w wypadku gwałtu, ale nawet zdenerwowania czy podniecenia. Z odpowiedzi na pierwsze, bardzo delikatne pytania wynikało, że nawet nie wie, o co właściwie chodzi.

Badanie przeprowadziły dwie lekarki w obecności matki. Nie obyło się bez kłopotów, bo mimo wszelkich tłumaczeń dziewczynka była rzeczywiście skrepowana i w dalszym ciągu nie wiedziała po co to wszystko. Wynik potwierdził przypuszczenie lekarzy — defloracji nie było. Nie stwierdzono nawet prób jej dokonania, mimo iż matka twierdziła, że miało to nastąpić przed trzema godzinami, co musiałoby pozostawić jakieś ślady.

Gdy wynik zakomunikowano matce, jej reakcja była niespodziewana. Zamiast ucieszyć się, zaczęła krzyczeć: nie znacie się, jesteście jedną kliką, pójście do prokuratora!... Lekarze wzruszyli ramionami, chociaż — prawdę powiedziawszy — to oni mogli udać się do prokuratora z doniesieniem o obrzęd.

W nawale codziennych zajęć sprawa poszła szybko w niepamięć. Ale jedna z lekarek nie mogła zapomnieć tego dość niezwykłego wydarzenia. Nie mogła zrozumieć, dlaczego matka tak zareagowała na wiadomość, że jej córka nie została zgwałcona. I postanowiła rozwikłać tajemnicę. Chodząc po ulicach miasta wypatrywała, czy gdzieś w tłumie przechodniów nie spotka dziewczynki. Zdarzyło się to po miesiącu. Mała poznała lekarkę i zaczęła z nią rozmawiać. Najpierw o sprawach szkoły, potem o zbliżających się wakacjach. Zaproszenie na lody ostatecznie skłoniło dziewczynkę do mówienia na temat owej wizyty w szpitalu.

Okazało się, że matka miała „znajomego”, który systematycznie przychodził dwa, trzy razy w tygodniu i zostawał na noc. Wtedy ona przenosiła się z pokoju, który zajmowała razem z matką do kuchni tłumaczono jej, że „znajomy” chce odpocząć, bo bardzo ciężko pracował. Raz i drugi matka mówiła, że niedługo ten pan będzie jej tatusem. Nie była tym zachwycona, pamiętała jeszcze prawdziwego ojca, który przed kilku laty zginął w wypadku samochodowym, ale mimo to nie odczuwała niechęci do „znajomego” matki.

W przeddzień wizyty w szpitalu ów „znajomy” przyszedł późno i zachowywał się dosyć dziwnie. Przeniosła się do kuchni i szybko zasnęła. Nad ranem obudziła ją głośna rozmowa w pokoju. Potem mama zaczęła krzyczeć, „znajomy” odpowiadał brzydkimi słowami, potem był jakiś rumór i „znajomy” mamy wybiegł z mieszkania krzycząc: ze ślubu nic nie będzie, więcej nie wróć! I coś jeszcze, czego nie rozumiała i czego nie pamięta.

I teraz wszystko stało się jasne. Matka pragnęła uzyskać w szpitalu zaświadczenie o gwałcie w dwojakim celu, najpierw zapewne chciała szantażować kochanka, który ją porzucił, aby wrócił i ożenił się z nią — a jeżeli odmówi, skierować skargę do prokuratora i na podstawie owego zaświadczenia uzyskać skazujący wyrok. Trochę skomplikowany, ale w gruncie rzeczy naiwny plan nie udał się.

Gdy lekarka opowiedziała o wszystkim na jakimś zebraniu lekarskim, znowu zaczęły się długie dyskusje. Ocena moralna postępowania matki była jednakowa. Chodziło jednak o rozstrzygnięcie problemu innej natury, zawiadomienie prokuratora czy nie, czy prokurator znajdzie paragraf, umożliwiający chociażby symboliczne ukaranie matki? Czy lekarka miała prawo poza szpitalem rozwikłać ową tajemnicę matki?

Mój rozmówca nie miał na ten temat skonkretyzowanego poglądu. I to jeszcze bardziej go gnębiło. Ale czy tylko jego?



Mirosław Derecki



Jerzy Dostatni

Marek Adam
JaworskiIreneusz J.
Kamiński

Irena Komosa



Zygmunt Mikulski



Maciej Podgórski

MÓJ ROK 1973

MIROSLAW DERECKI

OD REPORTERA wymaga się na ogół, żeby pisał o innych, a wszelkie próby pisania o sobie są przez redakcyjnych despotów tepione jako niepotrzebna „literatura”. Nic więc dziwnego, że po jedenastu latach pracy w „Kamieniu” można się poczuć całkowicie niezdolnym do przelewania na papier własnych doznań, natomiast o wiele łatwiej napisać o tym, co niejakiemu Mirosławowi Dereckiemu wydarzyło się interesującego w minionym roku.

Ten zdolny i wciąż jednak jeszcze młody — co wiele osób ma mu za złe: długie włosy! — reporter lubelski, związany nierozdzielnie z życiem kulturalnym Lubelszczyzny, porzucił w początkach 1973 r. zajmowaną od wielu lat funkcję przy Alejach Racławickich i przeniósł się do prawdziwego, spódnego, lokatorskiego mieszkania w najbardziej arystokratycznej dzielnicy Lublina. Należy w tym miejscu odnotować, że w swoim okresie cygańskim Derecki napisał dwie książki i widowisko teatralne, która to działalność przysporzyła mu tyluż wrogów, co i przyjaciół.

Nie w tym jednak rzecz. Otóż fatalne warunki mieszkaniowe, wicher hulający po mieszkaniu i śnieg otulający go w grudniowe noce białą, puszystą pierzynką — powodowały, że Derecki był rzadkim gościem w domu, cały swój wolny czas spędzając na poszukiwaniu w głębokim terenie atrakcyjnych tematów, albo oddając się intensywnej pracy twórczej w zaciszu redakcyjnym. Niekiedy ogarniało go dojmujące uczucie smutku. Było tak wówczas, gdy uświadamiał sobie, że w dogodnych warunkach mógłby osiągnąć znacznie więcej.

Nic więc dziwnego, że fakt otrzymania godziwego locum powitał ze zrozumiałą radością. Po zwykłych trudach związanych z wypełnianiem licznych formularzy i przeprowadzką, rozpoczął się dla Dereckiego twórczy okres usuwania usterek pozostawionych przez budowlanych. Z podziwu godnym — jak na niego — zapalem skrobał podłogi, zdierał ze ścian odpadające tynki, wykulał otwory dla zaizolowania oświetlenia elektrycznego. Wczorami siadywał na przymie piasku przed domem — na dworze było ciepło niż w mieszkaniu, kaloryfery nie grzały — i w gronie sąsiadów, towarzyszy niedoli, wiodł długie, serdeczne rozmowy na temat nowoczesnych metod stosowanych w budownictwie mieszkaniowym.

Ten okres życia będzie zawsze wspominał ze wzruszeniem. Poznał wielu ciekawych ludzi, wzbogacił swoją wiedzę o nich, stał się też mniej agresywny, bardziej pokorny wobec losu, który mu przypadł w udziale. Rozwinęły się też w znacznym stopniu jego zdolności, o jakich dotychczas nie miał pojęcia: nauczył się stolarki, murarstwa i przemyśliwa ostatnio o tym, żeby pójść na praktykę do zduna. Kiedy nastaly jesienne słoty, Derecki ze śnieżków desek ukradzionych na pobliskiej budowie zmagistrował sobie szczydła, przy pomocy których bez trudu przebywał bardziej bagniste odcinki drogi wiodącej z Osiedla im. Henryka Sienkiewicza do mniej arystokratycznych lubelskich dzielnic. Jednakże z nasilaniem się pory deszczowej nawet szczydła okazały się niewystarczające. Zdarzało się, że utknął-

szy po kolana w błocie, tkwił tak przez kilka godzin, łamiąc dyscyplinę redakcyjną i nie oddając na czas materiałów.

Ostatnio właśnie w takim momencie, gdy temperatura spadła nagle poniżej zera, przymarzył na stałe do osiedla Sienkiewiczowskiego. Ma teraz wiele czasu na obmyślenie ostatnich rozdziałów książki pt. „Ostatnia rola Stefana Jaracza”, którą — jeśli warunki atmosferyczne na to pozwolą — uda mu się może wydać w przyszłym roku.

Znacie nasze nazwiska z lektury „Kamień”, ze sposobu redagowania pisma. O nas samych wiecie jednak niewiele. Przypadające właśnie w tym roku czterdziestolecie „Kamienia” jest dobrą okazją, abyśmy zwrócili się do Was, Drodzy Czytelnicy, bardziej bezpośrednio. Mamy swoje troski i radości, swoje życie zawodowe i osobiste. Jaki był dla każdego z nas, członków zespołu pisma, ten rok 1973? Kierownictwo redakcji niczego autorom nie sugerowało, pozostawiając każdemu wolną rękę. Oto wypowiedzi, które — jeśli chcecie — przeczytajcie.

JERZY DOSTATNI

WCZORAJ kupiłem kalendarz na rok przyszły. Który to już raz w moim życiu? Ech — lepiej nie wspominać! Kalendarz jest tym przedmiotem, który nieubłaganie liczy mijający czas: rok, 365 dni, 8760 godzin...

Wracając do domu przepelnionym trejlbusem doszedłem do wniosku, że — wbrew wszystkim uczynom — jedne lata są dłuższe, inne krótsze. Nie chodzi o ten dzień roku przestępnego i jeszcze jakieś resztki wyliczone przez astronomów — ale tak w ogóle. Gdy byłem małym chłopcem, czas włókił się niemiłosiernie. Wciąż mi mówiono, że jestem za mały, za młody. W czasie okupacji dni prawie zawsze były za krótkie, noce zbyt długie, zwłaszcza wtedy, gdy nasilały się rewizje i aresztowania. Potem różnie bywało, chociaż w miarę wygasania temperatury naszego życia społeczno-gospodarczego czas obrastał różnymi naroślami, komplikował się, nieraz nawet gebił.

Do trzech razy sztuka — mówi stare porzekadło. Rok 1973 był trzecim z kolei rokiem licznym inaczej. Wiedziałem jak wszyscy, że będzie miał „tylko” 8760 godzin. A może „aż” 8760 godzin? Czy wystarczy tych godzin, aby wykonać to, co sobie zakładałem? U każdego z nas w jakimś zakątku mózgu funkcjonuje własna, osobista komisja planowania. Są z nią czasem różne kłopoty, bo nie zawsze poddaje się realiom życia. Czasem jak ślimak chce schować się w już zdobyty skorupce. Innym razem chce zdobyć coś na błyskotliwych, ale w gruncie rzeczy jałowych pobieżach.

Na rok 1973 nie stawiałem sobie żadnych specjalnych celów. Po prostu chciałem iść razem z innymi — no, może trochę bliżej czoła, abym mógł się zaliczyć do tych, co ciągną, a nie do tych, którzy są ciągnięci. Najtrudniejszy chyba był dalszy powrót do umiejętności samodzielnego myślenia i zdecydowanego działania. Myślę, że mi się to w dużym stopniu udało. Trochę dzięki własnemu uporowi ale przede wszystkim dlatego, że tak samo postępowali przyjaciele, znajomi, miliony tych, których nazywamy społeczeństwem lub narodem.

Czy zrobiłem wszystko, co — obiektywnie licząc — było możliwe? Chyba nie, nawet na pewno nie. Rok znów

okazał się zbyt krótki. Ale przecież z osobistą satysfakcją słuchałem przemówień na I Krajowej Konferencji Partyjnej, a potem w Sejmie, bo przecież jakaś część tych osiągnięć, o których mówiono, była także moim dziełem. Ale także część tego, co przyjdzie zrobić w roku 1974. Ten rok też będzie miał 8760 godzin. W tym samym czasie będę chciał zrobić jeszcze więcej i jeszcze lepiej. I muszę to osiągnąć.

A w życiu osobistym rok 1973 też był lepszy od poprzedniego. Ukazała

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

JESTEM historykiem sztuki. Przez 11 lat pisałem artykuły na temat plastyki współczesnej, zamieszczając je głównie w „Kamieniu”. Napisałem obszerny esej prezentujący historię lubelskiego środowiska plastycznego od lat dwudziestych do połowy sześćdziesiątych, który stał się niewyzerpanym źródłem informacji dla wielu okazjonalnych komentatorów zjawisk artystycznych Lublina. Zaden z nich nie zhańbił się wskazaniem tytułu i autora pracy, z której tak chętnie korzystał, o czym mogę nareszcie powiedzieć publicznie, jako że konwencja noworocznej „spowiedzi” dopuszcza mały ekshibicjonizm. Przez co najmniej 8 lat miałem monopol na pisanie o tych sprawach (plastycznych), co w końcu wzbudziło gwałtowny sprzeciw moich znakomitych przyjaciół. Myślałem, że i oni chcą sobie popisać. Ale nie piszą. Przez 10 lat otrzymywałem anonimowe, których nieznani (?) bliżej autorzy przedstawiali mnie pod postacią zwierzęcia, czyli świni. Jeszcze święcie przekonany, że mełaforyka ta — anonimowy kolportowałem w redakcji kierując się względami natury humanitarnej — zdecydowała o istotnym zwrocie w mojej działalności dziennikarskiej, który nastąpił właśnie w 1973 roku. Na początku tego roku redaktor naczelny wezwał mnie do swego gabinetu, zaproponował kawę, ludzki człowiek, „giewontem” uraczył kolega... Nie dobrego z tego nie wyjdzie — pomyślałem. Myliłem się: od owego momentu w którym naczelny deszł do wniosku, że nikt poza mną nie nadaje się do roli publicysty rolnego w „Kamieniu”, przestałem otrzymywać anonimowe. Jeżdżę po wsiach, rozmawiam z rolnikami, wiem już, ile NPK w czystym składniku potrzebuje hektar, w jaki sposób marnują majątek kółka rolnicze, ile dobra krowa rasy LCB powinna dawać mleka i jaka powinna być prawidłowa obsada bydła i wieprzów na 100 ha użytków rolnych. Dobrze mi, częste przebywanie na świeżym powietrzu poprawiło mi krążenie, oddech wydłużyło, do matki ziemi zbliżyło, nogi rozwinęło, muskuly w dłoniach (!) i rękach także. Przypuszczam, że nadawcy anonimów osłupiali na widok takiej postawy, wyjątkowo pozytywnej społecznie i stwarzającej wolne pole dla działalności krytycznej moich znakomitych przyjaciół. Albo też zaniepokoiły ich moje bicepsy, które, kiedy jestem w dobrym humorze, a pan Wacek poelagnie po akordionie, chętnie demonstruję w restauracji „Nadbystrzycka”, gdzie regularnie jadam kolacje po powrocie z reporterskiej wędrowki wśród labiryntu zabudowań gospodarskich, punktów skupu i magazynów, gęsów.

Takie to było najważniejsze wydarzenie mojego życia w 1973 roku, które cieniem pokrywa inne fakty, mały jak sądzę, zbędzące. Niedawno skończyłem pracę nad książką o plastyce współczesnej.

IRENA KOMOSA

OCENA mijającego roku — to lepsze niż przekrojowa psychozabawa. Oczywiście, zapytana zniemacka — jak minął rok? — zdobyłabym się zaledwie na zdawkowe — dziękuję, dobrze. Ale

się moja piąta książka tematycznie związana z Lubelszczyzną, napisałem tekst do szóstej jako współautor, otrzymałem zamówienie do siódmej. Zostałem członkiem kolegium redakcyjnego jednego z czasopism w Warszawie. Za dawne sprawy otrzymałem medal wojenny „Za Warszawę — 1939—1945”, chyba także za współczesne odznakę „Zasłużony dla województwa lubelskiego”. Uczestniczyłem w jednym konkursie dziennikarskim i zdobyłem drugie miejsce. Młodsza córka otrzymała mieszkanie we Wrocławiu i mogłem jej pomóc finansowo. Z lekarzy odwiedziłem tylko okulistę, bo stłukły mi się okulary. W nowych widzę lepiej, bardziej ostro. Przedmioty, ludzi i problemy chyba też.

MAREK ADAM JAWORSKI

MOJ rok 1973... Jakże łatwiej byłoby pisać o roku 1972! A przecież rok bieżący miał być rokiem 40-lecia „Kamienia”, zamierzaliśmy poświęcić temu wydarzeniu sporo miejsca, chcieliśmy, aby to było radosne święto dla całej naszej redakcji. Jubileusz czterdziestolecia stał się jednak najsmutniejszym jubileuszem w dziejach pisma.

Cóż za tragiczny zbieg okoliczności... We wrześniu 1933 roku ukazał się pierwszy numer „Kamienia”, założonej z inicjatywy mego Ojca, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. W czterdziestu lat później, dokładnie we wrześniu, odprowadziłem Ojca na miejsce wiecznego spoczynku. Koledzy — dziennikarze „Kamienia”, członkowie lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich, nieśli na ramionach trumnę przykrytą biało-czerwoną szarfą. Oddawali ostatni hołd Zaliczycielowi pisma. Ja — po Matee, która straciłem przed trzema laty — żegnałem z kolei Ojca. Zegnałem mego największego przyjaciela. On nauczył mnie stawiać pierwsze znaki, On zaszczerpił we mnie miłość do języka polskiego, do polskiej literatury. On wakał mi lewą stronę barykady, On zawsze płaczał mnie największą troską.

Za wcześniej jeszcze, gdy rana się nie zablżyła, na szerokie, osobiste wspomnienia. Sądzę, że mam ich sporo, sądzą, że jeśli sil starczy, kiedyś je napiszę.

Mój rok 1973... Wolalbym, aby go nie było.

Wtedy przyjdzie odpowiednia chwila (wydająca na dłuższy czas światło, spąc nie można po wypitej pozostawiając wieczorem kawie, jedzie się pociągiem, autobusem i nie ma do kogo gęsy otworzyć), można analizować przeszłe 365 dni. Stawiam więc sobie w tej mojej osobistej psychozabawie pytania, według z góry ustalonych punktów: — Co mogę powiedzieć o minionym roku jako... córka (kobieta, matka, żona, gospodyni domowa, czytelniczka prasy, oglądaczka telewizji, słuchaczka radia klientka sklepów, pasażerka komunikacji miejskiej itd., itd., w zależności od nastroju). Zaręczam, że od świętej Lucji do Sylwestra wszystkie „odpowiednie chwile” mogłabym tymi rozważaniami wypełnić.

No więc jak oceniam rok 1973 jako redaktor techniczny „Kamena”? Myślę, że był to trudny rok, ale chyba nie najgorszy. Najważniejsze wydarzenie — zmiana formatu i szaty graficznej pisma.

Od momentu przygotowania wzoru ślepych makiet targali mną wątpliwości: czy ta mała „Kamena” z maszyną rotacyjną, mniej kolorowa, bardziej gazetowa, będzie ładna? Czy ją kupią, czy ją polubią?

Przygotowanie pierwszego nowego numeru długo będę pamiętał. Najpierw skrupulatnie prześledziłem materiał do druku. Szerokość łamu inna i strona jakaś ciasna. Wiadomo, autorzy nie przedstawili się jeszcze na krótkie pisanie. A przede wszystkim — winieta tytułowa. Z dziesięciu projektów wybrałiśmy wreszcie jeden. Na wszelki wypadek przygotowujemy w chemigrafii trzy warianty. No i ciągle to nie to. Lamanie szesnastu stron, nawet tych mniejszych wymaga jednak więcej pracy niż poprzednich dwunastu. Po czcionki tytułowe — do działu gazetowego. Zegnajcie paneurosy cienkie i polgrube, noblesy, suzy i toruńskie antyki. Odtąd królować będą w „Kamieniu” blok ciężki, baccarat i rex.

Przymierzamy wreszcie te małe stroniczki do ram po dwie. Niby prosta rzecz, ale jak się okazało, nie takie to łatwe. Wreszcie kalandrowanie, stereotypia i druk. Nikt mnie teraz nie przekona, że o wyglądzie pisma może decydować coś innego niż papier i farba. A właśnie w tym pierwszym (20/73) numerze jedno z drugim nie chciało się zgodzić. Farba mazała się, w takim stanie „Kamena” nie mogła wprost z maszyny być oddana do rąk czytelnika. No i ostatecznie zamiast skrócić, wydłużyliśmy cykl produkcyjny. Ale to tylko przy pierwszym numerze. Poza tym zginęły mi gdzieś trzy dni. Nie mogłam się ich doliczyć przy sporządzaniu projektu harmonogramu.

A rotacyjna „Kamena” została kupiona. I nakład wzrasta. Chyba ją jednak czytelnicy polubili.

ZYGMUNT MIKULSKI

KIEDY już się stało oczywiste, że nie przepłynę Atlantyki, że pustynia Gobi nie będzie zalana wodą, o czym chciałem napisać atrakcyjną notatkę, że do mojego długopisu nie znajduję wkładu, który oprócz darcia papieru zostawiałby na nim ślad graficzny, postanowiłem przeorganizować program życiowy i poszukać sukcesów na drodze konsolidacji wewnętrznej. Stało się to o tyle bardziej wskazane, że tymczasem integracja tzw. środowiskowa weszła w stadium intensywnych rozważań, co korzystnie sprobienizowało jej realizację praktyczną, a więc otworzyło pole dla twórczej inwencji jednostkowej.

Odkryłem więc walor, potrzebę, nieodzowność chodzenia. Chód ma swoją kulturową tradycję. Arystoteles zalecał filozofom spacerować. Majakowski chodził w czasie twórczego procesu, „Pójście o dziatki” — wzywał wieszcz. Zaczęłam realizować postanowienie odbywania intensywnych marszów ulicznych, w czym mi wainie pomogło MPK, którego tabor zdecydowanie przestał umożliwiać banalną przejażdżkę, za co niech mi będzie wolno złożyć mu z tego miejsca moje obywatelskie podziękowanie. Nie wiem tylko, gdzie na wypadek nadmiernych roztopów zaopatrzyć się w odpowiednie obuwie ochronne i chętnie w tym względzie zasięgnąć opinii wybitnego intelektualisty, ale okazało się, że wyjechał do Białegostoku.

A propo. Z tegorocznych lektur zaliczyłem nie tyle „Konopielkę”, co na jej temat glosy krytyki literackiej, które dawniej wykazywały, że, w usuwaniu zapożyczeń gospodarczych, wainą rolę odgrywa czynnik nieschematycznego zblżenia płciowego i mój patriotycznym lokalnym pastawil mi przed przyłubelskie zagony buraczne obsługiwane

ne jednym jedynym kombajnem. użyłbym jednak, że pod tym względem waraczan nie na swój teren, a zmuszając wymiana doświadczeń nie jest tu konieczna na piaszczyste organizacyjnej.

Do sukcesów w ubiegłym roku zaliczyć mogę otrzymanie złotej odznaki Lubelskiego związku szachowego. Wprawdzie niecenne dla osoby twierdzą, że wyraża się w tym ilość przegranych z przeciwnikami, ale to nieprawda. Przegrywałem również z innymi.

Natomiast do wyraznie ujemnych pozycji w rocznym bilansie zaliczam pewien incydent z młodym poetą, który już od trzydziestu lat opracowuje pewien wiersz tak, by był równocześnie tekstem piosenki, zbiorem aloryzmów, fragmentem powieści i formułą sposobną w gronie towarzyskim. Otóż młody ów autor zagroził mi pobiciem za niezrozumienie utworu i próbę jego publikacji. Moze jednak obronił mnie przed tym wszędobylski wpływ pewnego młodego (?) twórcy, którego wiersz zaczynający cykl drugiej dwudziestki tysięcy niedawno przeczytałem. Powtarzam: przeczytałem i czekam na gratulacje pod adres znany redakcji.

MACIEJ POŁGÓRSKI

ŻYCIE nasze kochane przywykliśmy nuerzyć laurami kalendarzowymi, bo jakoś je mierzyć trzeba. Lata pracy do awansu, lata pracy do orderu, lata życia do srebrnego wesela. Aczkolwiek nie wierzę, żeby okrojony rok kalendarzowy mógł zamykać jakiś wyodrębniający się okres czyjegoś życia. Toteż dokonując małego bilansu „za rok 1973”, stawiam się w sytuacji psychicznie dla mnie niewygodnej. I pisać mogę jedynie o sprawach, które zapewne ciągną się jeszcze z lat poprzednich, lecz które, być może, w mijającym roku bardziej wyraziście sobie uświadomiłem.

Ot, choćby mój pobyt w Lublinie. Wziąłem się tutaj z Warszawy. Ale mieszkam tu już 14 lat, tu się wykształciłem, tu pracuję, ożeniłem się z rodowitą lublinianką, moja 5-letnia córka jest rodowitą lublinianką, od dawna już myślę w kategoriach „u nas, w Lublinie” — i ciągle czuję, że mi poniektórzy w tak zwanym środowisku nie potrafią wybaczyć, iż nie jestem „swoim”, nie pochodzę z Lublina, a przynajmniej z Lubelszczyzny. Moze na tym właśnie polega prowincjonalizm? I może to mnie ostatnio skłoniło do szukania swoich korzeni gdzieś daleko poza Lublinem, a nawet poza Warszawą — w zamierzonym świecie uroczystych prababek kresowych. Zrekonstruować swoje pochodzenie do ilu się da pokoleń wstecz.

Ale to nieszkodliwe, prywatne hobby. Bo moim prawdziwym hobby — i nie nie poradzę, że brzmiałoby rozpaczliwie banalnie i deklaratywnie — jest moja praca. Po prostu nie wyobrażam sobie siebie w innej robocie niż dziennikarstwo. A szedłem do dziennikarstwa, zaczynając od gabinetowego pisania o literaturze. Gabinetowe zajęcia często odbywają się w obrębie fałszywych hierarchii wartości, stwarzają ciepłą atmosferę ułatwionego potwierdzenia własnej wartości osobowej. W sensie psychicznym kończę z tym coraz gruntowniej, choć może nie jest dobrze iż skończyłem w ogóle z pisaniem o literaturze i z wiarą w literaturę. Trzeba będzie nad tymi sprawami gruntownie pomyśleć. Chęć obudziła się w mijającym roku.

Kiedy zostawiłem książki na uboczu i znalazłem się wśród ludzi, coraz częściej mi się zdarza otrzymywać od ludzi potężne cięgi. Ktoś oskarżył mnie przed rzecznikiem dyscyplinarnym SDP, ktoś rozgłasza, że podał mnie do sądu, ktoś napisał do mnie z wzięcia list, że chciałby dożyć tej chwili, kiedy wszystkich dziennikarzy lubelskich posadzą na ławie oskarżonych, a ja że bym się generalnie odwalił. I to wszystko w ciągu jednego roku! Coraz bardziej mnie to utwierdza w przekonaniu, że jeśli się w ogóle oplaca uprawiać dziennikarstwo, to tylko takie, które chciałoby coś zmienić i ulepszyć wokół siebie i w ludziach. Oczywiście, wówczas zawsze się będzie dla kogoś niewygodnym. Ale to już przypadłość zawodu, z którą pokornie zgodzić się trzeba.

Mam sobie tylko za złe, że nie zawsze konsekwentnie robiłem „swoje” dziennikarstwo, opłatając się na uzależnienia. Ale czy człowiek zawsze może wiedzieć, jaki jest, co mu robić potrzeba, i czy zawsze może zgodzić się na samego siebie? Te wątpliwości biega się, jeszcze z czasów „literackich” rozmyślań. Trzeba je będzie postawić i rozważyć na nowo.

Marian Janusz Kawalko

DZIEDZICTWO

mam was ostatnich i pierwszych zarazem
jak brząsk i nieszpór
jak krzyk i milczenie
i dziś znam tylko was choć
znam na zawsze
jak kurtyzanę z litewskiego placu
albo proroka co na grzazach wieszcząc
najświętszym datą pozostał poetą
wam też się jeszcze teatr śni wróżebny
czterdzieści cztery i róg wernyhory
lecz zawsze z głową pełną katzenjammeru
topicie zamysł w fusach czarnej kawy

mam was do bólu pijani poeci
jak igła we krwi jak raj utracony

podnieście głowy lub
umrzyjcie
gładko

(II nagroda w Ogólnopolskim Festiwalu
Poezji w Łodzi 1972 r.)

MATNIA

Michałowi Traczowi

1.
znów las — jak karta — otwiera się we mnie
wiozłami wciąż pełen
i płochliwych śnieżyca
a w słojach próchno drzemie
ostatnie
choć konar każdy w niebo celnie mierzy

2.
jak las się spełnia
tak spełnia się człowiek
nie zdołam odbiec już od drzew
ostatnich
kiedy spad powiek
jeszcze nedomkniętych
opłacę siebie w szczęściu drzewnej matni



AMNEZJA

jeszcze poszukują ciebie wietlice i skrzypy
na duktach nie nazwanych w zimnych matecznikach
i echa milczą wśród śnieżyca wiodących do nikąd
za twoją niepokorność
za dżban po tobie rozbity
jeszcze wiatr zaokienny zasiewa pod strzechą
gorąc niepokoju zdjętą ze stróżujących kłonów
a świeca przy twojej fotografii przybrana zakonna
z nagła zadymi
jakby uspiąca czymiś oddechem
jeszcze czeka na ciebie wyszczerbiona łyżka
u progu
i świerszcz ćwiczy hajnal powitalny

reszty nie daciekaj papierosa lepiej zapalmy
dłoń wówczas jaśniej świeci gdy oku jest bliższa

* * *

Córeczko mojej nieobecnej

za oknem moim — Córeczko — późny sezon mrowia i ptaków
chryzantemy tylko jak główne październikowo planą
za moim oknem rozprawia ostów skarłatły zakon
ile we mnie buntu pianowo
ile winy pozioma
nad moim oknem — Córeczko — pajak opasły jak papier
nietykalny ledwie wysysa z muchy niedawne lato
a szyby lżą zachodzą barwa zastyga w barwie
i milczą już dojrzale
i pustoszeje gładko
za oknem — Córeczko — nocami sny się zbierają kulawe
— daremnie scigam dziewczynę
— ostatni raz idę na dno
aż wczesnym ranem przybijam do bieli nieznośnej
i nawet nie wiem kamę zlorzeczą
ale nie próbuj odgadnąć
przez moje okno dzień waiska umarłe fotony światła
równoleżnikiem od progu idę im starczą naprzeciw
uśmiechu Twojego szukając by mnie ocieplił
rozświecił

czekam
fioret gostnieje

sól spływa mi do gardła

Kamena str. 7



Inż. Leon Tomaszewski

LUDZIOM z miasta wciąż się wydaje — powiada inżynier Leon Tomaszewski — że leśnik spaceruje z fuzijką, wdycha żywiczne powietrze, pensję bierze nie wiadomo za co. Tymczasem on żyje w lesie i dla lasu. A życie to praca, radość i smutek, uśmiech i łzy. Co do świeżego powietrza — zgoda. Natomiast broń myśliwska kosztuje ładne pieniądze, uprawianie myślistwa jeszcze więcej. Zresztą, kto by miał czas na myślistwo. Las to wielkie gospodarstwo, z którego prowadzeniem wiąże się zagadnienia produkcji i transportu, plany, terminy, sprawozdawczość... Wiem coś na ten temat — w lasach Zamojszczyzny spędziłem trzydzieści pięć lat.

Nadleśnictwo Krasnystaw, którym kieruje Leon Tomaszewski, ma swoją siedzibę w... Zamościu, ale już wznosi się rozległe, wygodne budynki w pobliżu Krasnegostawu. Jest ono jednostką bardzo młodą. Powstało w wyniku komasacji nadleśnictw na Lubelszczyźnie, gdy z 52 utworzono 21. Chodziło m. in. o względy ekonomiczne, o większe wykorzystanie parku maszynowego, o stworzenie lepszych warunków ludziom dojeżdżającym do pracy. Nawiasem mówiąc, problem robotników leśnych z roku na rok powiększa się. Ludzie przenoszą się ze wsi do miast, wdychanie żywicznego powietrza wcale im nie odpowiada, bo praca w lesie jest cięższa od pracy górnikowej, zarobki zaś wcale nie najwyższe.

A przecież w ciągu ostatnich lat zmieniło się bardzo wiele. Jeszcze dziesięć lat temu inżynier Tomaszewski nie dysponował ani jedną piłą mechaniczną, dzisiaj ma ich trzydzieści. Transport drewna odbywał się tylko przy pomocy trakcji konnej, obecnie nadleśnictwo dysponuje siedmioma samochodami, ciągnikami, szeregiem specjalnych maszyn do upraw leśnych. Gospodarstwo bezustannie domaga się jednak dalszej mechanizacji środków transportu. Szczególnie istotna jest sprawa transportu. Nadleśnictwo Krasnystaw, powstałe z części nadleśnictw Lopiennik w pow. kraśnostawskim i Zawadówka w pow. chełmskim oraz nadleśnictwa Zamość, obejmuje 13,6 tys. hektarów lasów. Ale owe lasy, bardziej fachowo: „uroczyńska leśna”, są rozrzucone na obszarze 220 tys. hektarów. Lasy to w większości liściaste, głównie bukowe, co też określa rodzaj produkcji.

Rocznie inż. Tomaszewski wysyła w świat 30 tys. metrów sześciennych drewna potrzebnego do wytwarzania papieru, zapalek i na stemple w kopalniach. Trzebione bez opamiętania jeszcze w latach wojennych drzewostany wymagają odnowy; szczególnie wiele uwagi przywiązuje się więc do hodowli lasu i do zakładania szkółek. W tej batalii o nowe drewno bierze udział dziesięć podległych Tomaszewskiemu leśnictw, będących zasadniczymi jednostkami produkcyjnymi. Nadleśnictwo to sztab operacyjny. Rolę dowódców poszczególnych jednostek spełniają leśniczowie (każdy z ukończonym technikum leśnym), mający do pomocy podoficerów-gajowych (z ukończoną leśną zasadniczą szkołą zawodową) i robotników leśnych,

stałe doszkalanym na kursach specjalistycznych. W sumie inżynier dysponuje siłą 200 ludzi, wznastającą w sezonie w dwójnasób.

Romantyka leśnej pracy odchodzi w przeszłość wypierana przez wskaźniki produkcji, roboczości, wskaźniki zużycia paliwa, cyfry, maszyny do liczenia. Jeszcze może tylko stary dworek dębowy, przysiadły na peryferiach Zamościa, dawna leśniczówka przeniesiona tutaj z Pańskiej Doliny, mieszcząca siedzibę nadleśnictwa Krasnystaw, przywodzi na pamięć zamglony obraz dawnego leśnego życia Ordynacji Zamojskiej.

Ludzie, którzy zdecydowali się tutaj osiedlić, wrastali w las mocno



Fot. R. Siefko

jak drzewa. Rośli i starzeli się wraz z drzewami i może dlatego tak wiele wagi przywiązują do wspomnień.

Leon Tomaszewski, na przykład, rozpoczął swe dorosłe życie właśnie w lasach zamojskich. Przybył do Ordynacji rok przed wojną, zaraz po ukończeniu znanego liceum leśnego w Krzemieńcu. Syn rolnika spod Łodzi, na zawód leśnika zdecydował się przypadkowo, dopiero w miarę upływu lat uświadamiał sobie coraz dokładniej, że poszedł za głosem prawdziwego powołania.

Wybuch wojny zastał go w nadleśnictwie Terespol, którym kierował doświadczony leśnik, inżynier Bończa-Pióro. W latach późniejszych nadleśniczy ściśle związał się z konspiracją, a jego postawa miała nie-mały wpływ na udział służby leśnej w ruchu oporu. Zresztą leśnicy na

W LESIE I DLA LASU

Mirosław Derecki

Zamojszczyźnie od pierwszych dni okupacji włączyli się czynnie do walki z wrogiem.

Z początku była to jeszcze działalność niezorganizowana, samorzutna. W lasach Ordynacji ukrywały się setki oficerów i żołnierzy armii polskiej, także cywilów, którzy obawiali się niemieckich prześladowań. Część tych ludzi zwyczajnie ukrywano, część pracowała po leśniczkach i gajówkach pod fikcyjnymi nazwiskami. Zamojszczyzna zaroiła się nagle od leśnych „praktykantów”, „pomocników gajowych”, „magazynierów”, „kontrolerów”. Do nadleśnictwa Terespol zgłosił się m. in. w grudniu 1939 r. uchodząca ze Śląska, występująca pod przybranym nazwiskiem Lenart, były powstaniec śląski i działacz polityczny. Dzięki pomocy Tomaszewskiego zamieszkał wraz z rodziną w pobliskiej Bukownicy, sprawując w nadleśnictwie funkcję „składniczego”. Jedną z córek Lenarta wyszła za mąż za przyjaciele Tomaszewskiego, praktykanta w nadleśnictwie, Mieczysława Wandycza, który został później zdekonspirowany i wydany w ręce gestapo przez słynnego Vismana.

Ale w tym miejscu trzeba się cofnąć do pierwszych dni po klęsce wrześniowej, kiedy Tomaszewski wraz z Wandyczem, gajowymi Szymonem Zawadą, Michałem Gajem i byłym bosmanem Marynarki Wojennej Michałem Zawisłakiem, zaczęli zbierać i magazynować broń pozostawioną w lasach przez polskie oddziały. W pięciu podziemnych kryjówkach, usytuowanych koło gajówki Dąbrowa w Górecku i gajówki Dębinki pod Bukownicą, ukryli około 300 karabinów, 20 erkaemów, 5 elkaemów, 4 cekaemy, znaczną ilość amunicji i granatów. Kiedy na terenie Zamojszczyzny rozpoczął działalność ZWZ, Tomaszewski zameldował o magazynach broni komendantowi placu na gminę Terespol, którym był w owym czasie nauczyciel szkoły w Bukownicy. W roku 1940 magazyny oglądał konspiracyjny wojskowy komendant powiatu zamojskiego, „Adam”. Wyraził zadowolenie ze stanu zakonserwowania broni, dodając, że przyda się ona wkrótce leśnym oddziałom. W roku następnym, kiedy Tomaszewski pracował już w Górecku na stanowisku leśniczego, przyjechało do leśniczówki rowerami dwóch mężczyzn. Jednym z nich był „Adam”. Przedstawił Tomaszewskiemu swojego zastępcę do spraw dywersji, który chciałby zapoznać się ze stanem zakopanej broni. W oględzinach uczestniczył wówczas również Wandycz.

Z początkiem 1942 r. wybuchła na Zamojszczyźnie „sprawa Vismana”. Ów zastępca „Adama”, przeszedłszy na współpracę z Gestapo, sygnalizował nazwiskami, pseudonimami i adresami członków konspiracji; rozpoczęła się seria aresztowań. Jedną z ofiar Vismana stał się Mieczysław Wandycz. Aresztowany przez Gestapo, załamał się. Powodowany obawą o los żony spodziewającej się właśnie dziecka, zdradził Niemcom miejsce ukrycia broni. Na obronę Wandycza trzeba zapisać, że wskazał tylko na schrony znajdujące się obok gajówki Dębinka, a zamieścił o miejscu, gdzie ukrywał się wówczas Tomaszewski.

Wandycz ocalał najbliższych, ale sam zginął wkrótce w Oświęcimiu. W ręce Niemców wpadła więcej niż połowa broni. Ocalałe karabiny i

amunicję Tomaszewski przekazał jesienią 1942 r. leśnemu oddziałowi „Podkowy”. Visman skończył, jak kończą zdraycy. Został zlikwidowany przez specjalny oddział Armii Krajowej pod dowództwem Jana Turowskiego — „Norberta”.

Przez teren nadleśnictwa Terespol bez przerwy przewijali się ludzie potrzebujący pomocy, stałymi gośćmi leśników i gajowych były oddziały partyzanckie, należące do różnych ugrupowań politycznych. W sierpniu 1942 r., podczas obchodu lasu, Tomaszewski napotkał siedzących w głębokim wykrocie trzech ludzi ubranych w mundury o nieznanym mu kroju i posługujących się śpiewnym, niezrozumiałym językiem. Byli to Francuzi, uciekinierzy z wojskowego obozu jenieckiego w Zwierzyńcu. Polscy leśnicy przechowali ich w sobie tylko znanych kryjówkach aż do października, następnie Tomaszewski przekazał Francuzów oddziałowi Miszki-Tatara. Spotkanie ze słynnym radzieckim partyzantem odbyło się w gajówce Dąbrowa, gdzie rezydował współpracownik Tomaszewskiego, Szymon Zawada. Również w 1942 r. Tomaszewski kilkakrotnie „wizytował” podległą mu gajówkę Starzyna, gdzie u gajowego Mikołaja Swacha stanął na kwaterze oddział Gwardii Ludowej.

W 1943 r., w drugiej połowie kwietnia, Tomaszewski otrzymał wraz z Adamem Piotrowskim — „Dolina” rozkaz skontaktowania przybyłego właśnie na Zamojszczyznę z Warszawy oddziału bojowego z jednym z miejscowych oddziałów partyzanckich. Wstępny kontakt, na podane hasło, szedł przez mężczyznę, występującego pod pseudonimem „Wojna”, w Panasówce. Prowadzeni przez „Wojnę”, spotkali obozujący w odległym zagajniku oddział złożony z 40 ludzi, doskonale uzbrojonych i umundurowanych. Była to tzw. „Kompania Warszawska” pod dowództwem majora Sztumberk-Rychtera, „Zegoty”. Tomaszewski z „Doliną” przeprowadził „Warszawiaków” nieuczestniczącymi leśnymi duktami do zagajnika nad rzeczką Stuczek, gdzie koło gajówki Okno nastąpiło spotkanie z oddziałem „Podkowy”.

W oddziale „Podkowy” Tomaszewski spędził resztę okupacji. Wyzwolenie zastało go w leśnym koczowisku pod wsią Aleksandrow, gdzie opiekował się rannymi partyzantami, którzy uratowali się z bitwy pod Osuchami. Tutaj też zakończył się wojenny szlak zamojskiego leśnika. Ostatni raz miał do czynienia z wojną koło zerwanego mostu na Szumie, gdy wsiadł do radzieckiego „Willysa” prowadząc żołnierzy do jedynej ocalałej w okolicy przeprawy, do mostu w Górecku Kościelnym.

Wilka ciągnie do lasu, a i dla leśnika nie ma innego życia. W sierpniu 1944 r. Leon Tomaszewski zgłosił się do pracy w leśnictwie Górecko, następnego lata poświęcił na skończenie wyższych studiów i pracę na stanowiskach wiodących na koniec do rangi nadleśniczego. Powiada, że chociaż wychował się w lesie, to wcale nie zdołał mu on zaciemnić trzeźwego spojrzenia na świat. Ceni sobie konkretną pracę, nie znosi przesadnej sprawozdawczości, nie cierpi biurokracji. „Nie po to z drewna wytwarza się papier, żeby wracał on do lasu w postaci makulatury”.

WIKTOR Wołkow znowu dostał główną nagrodę na ogólnopolskiej wystawie fotografii artystycznej w Lublinie, obdarzonej tytułem „Konfrontacje 73”. Po raz pierwszy fotografik lubelski triumfował w Lublinie w grudniu 1973 roku, kiedy to zdystansował konkurentów na imprezie nazwanej ogólnopolską wystawą fotografii artystycznej i krajoznawczej, w której uczestniczyło 31 autorów, absolutnie nie sterpiących na przelotną ambicję twórczą. Wołkow przedstawił jurorom prace o tematyce wodnej, co daje do rozważenia, ale nie podważa walorów technicznych i formalno-wyrazowych zdjęć tego pracowniczego autora. Uptęgniło nieco czasu, fotografia weszła w fałę subiektywna, co spowodowało prawdziwy wytrysk inicjatyw w kraju.

Lublin, wiadomo, zawsze uchował nadzieję, więc i tym razem dostosował się do rytmu ogólnopolskich przemian artystycznych, mało tego: zaproponował własną formę współczesnej twórczości fotograficznej, z której charakterem mogliśmy zapoznać się podczas wystawy „Konfrontacje 73”, urządzanej w Bramie Krakowskiej, a skupiającej 153 prace 31 autorów, w tym 5 „Gawronów” Wiktora Wołkowa. Rzecz jasna, zdjęcia tych niesympatycznych ptaków znowu doczekały się najwyższej premi w postaci złotego medalu. A teraz po raz trzeci Wiktor Wołkow? Złoty medal za cykl „Mewa”, czyli za fotografie modnych ptaków.

Wołkow ma rzemiosło, zdaje się być człowiekiem wrażliwym na zmienność

albowiem w sposób natchniony i tupełkowy podążając pod okrytą bogu ducha winnego wiatru pręży wyprano ze szlaku indywidualności, a przy tym tak przesensjonalnie, że aż mdłości biorą. Trudno dociec, jakie wyobrażenia o świecie, o sztuce i o swoich możliwościach stały się powodem „sklepek montażowych” zastygłych w „Dziennym uciekaczku”, „Czemu właśnie ty?”, „Dokąd idziesz?” Idę do domu — oto jedyna reakcja na takie koncepcje. Można przypuszczać, że w najbliższych czasach nastąpi krach tych wszystkich idei, ściśle — tego nurtu, który zainicjowali animatorzy polskiej fotografii subiektywnej. Ta cała historia przetrwała się bowiem w konwencji, wszyscy dziś biegną bezładu i składu, usiłują się czepić gwiazd metafizyki, albo produkować fotograficzne traktaty o metodzie, o języku tego gatunku, stwarzając metafizykę — wyprany niestety, ze znaczeń. Oto co się dzieje z ożywcza idea, która w sposób nie znany dotychczas rozruszała środowisko twórcze.

„Konfrontacje 73” warte są jednak uwagi, albowiem poza „sieczką” prezentującą kilkanaście przynajmniej prac prowokujących do refleksji moralnej czy intelektualnej, ich autorzy korzystają z doświadczeń „szkoły jódzkiej” i „szkoły warszawsko-wrocławskiej”, to prawda, lecz treść emocjonalna i zawartość myślowa tych fotografii zachęca do dialogu, dając jednocześnie satysfakcję wizualną. Mam na uwadze np. pracę Henryka Króla z Trzcianki Lubuskiej — znakomicie skonstruowany poemat fotograficzny o ludzkim dramacie.

Lalki i aktorzy

Hanna Pater

WSZYSTKIM malkontentem, nie bez powodu naszym rozrywką, garścią polecam obejrzenie widowiska, które proponuje lubelski Teatr Lalki i Aktora. Nawiasem mówiąc, spotykają się one z bardzo gorącym aplauzem oświeconej publiczności, która znakomicie reaguje na dowcip, wyławiając jego najsubtelniejsze nawet nawiązania, a ponadto nie ma od dystansu do przedstawianych „cudowności” — wchłania bez oporów moralistykę i dydaktyzm ukryte w potencie scenicznego wydarzenia. Dla dorosłego widza posiadają one dodatkowy walor naiwności. Oglądamy więc świat, w którym uczynki dobre lub złe mają jednoznaczny wymowę, w którym dobro i mądrość biorą górę nad złem i głupotą, w którym okrucieństwo zjawisk złagodzone jest interwencją sił „wzwyż” lub umownością.

Bohater bajki (Tymoteusz) czy opowieści ludowej (Judyta, Syn Marnotrawny, Dorota) znajduje się w opozycji do świata, w którym działa i od którego pobiera naukę. Słuszność jego postawy sprawdza się właśnie w działaniu, poddanemu bezpośrednio ocenie małego widza, doskonale zorientowanego w prawidłach konwencji baśniowej. Wiadomo, że w (szczególnym) zakończeniu wyłoni się moral, ale nie on jest najważniejszy. Ważny jest bohater i otaczający go świat, ważne są zdarzenia, sytuacje, dialogi.

Do majsterzów humoru słownego należy „Tymoteusz wśród ptaków” Jana Wilkowskiego. Wiadomo jednak, że najlepszy nieraz dowcip można wskutek złej interpretacji „położyć”, toteż przede wszystkim duże brawa należą się zespołowi aktor-skiemu, który bezbłędnie „wszedł” w swoją rolę.

Jest więc rozpieszczony młód Tymoteusz o poczciwym sercu, który ułtował się nad osieroconym jajkiem kukulczym i postanowił je „wysiedzieć”; jest oczywiście aopiekujący ojciec Tymoteusza, stoczący się nieustannie na wybryki swego jedynaka i... ulegający mu we wszystkich kapryśkach, jako że — nie grzesząc bystrością — daje się wciągnąć w perypetie będące udziałem syna (np. Tymoteusz omal go nie zjadł do wysładywania jajka na zmianę); jest również chytry Lis, który podstępem pragnie wykraść owo pechowe jajko w celach władowych, ale przesładuje go — ku ucieciesz młodocianej widowni — nieustanny pech; jest wreszcie pyszna galeria ptaków oczekujących przybycia piskląt.

Całe widowisko przepojone jest liryczną zadumą nad cudem życia. Zupełnie różny od „Tymoteusza” — zarówno w konwencji scenicznej jak gatunkowej — jest ambitny „Tryptyk Staropolski” (wybór tekstów dr Henryk Jurkowski). Składają się nań trzy opowieści ludowe: dwie biblijne („Judyta”, „Syn Marnotrawny”) i jedna „rodzima”, o pięknej Krakowiance Dorocie, Królu i Kacie. Dowcip słowny nie odgrywa w nich większej roli, natomiast słowo ważne jest tutaj poprzez treść, jaką niesie. Należy bowiem zaznaczyć, że w widowisku aktorzy mówią językiem staropolskim, co dodaje mu wielkiego uroku.

Pozostaje więc czarny humor sytuacji, komizm „postaci” (lalki), rekwizytów, komizm głosu aktora oraz komizm... kon-

wencji. W opowieści o dziecinnej wdowie Judycie, która nie uchyliła się wroga potęgę odrabiała mu głowę, lalki grają statycznie, ich twarze są — odpowiedne do wagi przedstawianych wydarzeń — poważne, a nawet zdradzają desperację — powagą nienaturalnie uroczyste, „drewniane”. Wszystko to jest oczywiście świadomym nawiązaniem do konwencji teatru ludowego z jego naiwną prostotą środków wyrazu. Opowiedz o Judyty, poddana została rytmowi wspaniałych pieśni chorałowych i bardzo dobrym wykonaniu aktorów.

W „Synu Marnotrawnym” niesłychanie zabawne lalki znajdują się w ciągłym ruchu, jedynie postać starego ojca jest dostrajnie powolna i niecierpliwa, pełna napięcia i niecierpliwości postać syna. Niemal uduł w charakterystyce osób dramatu mają głębię, szczególnie podkreśla scena w zaręczynach. Oto nie znający świata bohater, duży w moc swego pieniądza, dostaje się w ręce szajki, a ta wykorzystując jego naiwność, dokumentnie go ogolają. Duży udział w tym dziele zniszczenia mają kobiety, w tym ostrze, nieprzyjemnie brzmienie głosu są jednoznacznie głosami osób złych, bo przecież w mentalności ludowej dobro wie w parze z pięknem, a zło z brzydotą.

Tym większa niespodzianka czeka widza w trzeciej części „Tryptyku”, o pięknej Dorocie z Krakowa, co nie chciała poślubić króla. Z tych trzech jest to opowieść najbardziej uroczona, zawierająca wspomniany element zaskoczenia. Bo sława, które pałają z uszami i sercami, życia swego porzucił.

Wbrew oczekiwaniu widza mówione są głosem bynajmniej nie „słodkim”. Oto piękna Dorota jawi się nam nie jako ofiara namilętego króla, a potem kasa, lecz jako przekorna, a złośliwa sekutnica, która w celu sobie tylko wiadomym i kierując się zgłola dziwną, ściśle „babską” logiką odmawia swych względów... z czczeniem... nikiem. Humorem „Tryptyku” defektował się może tylko widz dorosły.

Natomiast znowu z myślą o małym widzu zrealizowane jest farsowo-wodewiślowobajkowe widowisko „Bardzo dziwny kuferek” Jana Władysława. Duża odpowiedzialność za kształt przedstawienia spoczywa tutaj na barkach dwu aktorów wiodących, wysypujących „na żywo” w rolach rywalizujących ze sobą kłownów. Na drugim miejscu planie (dosłownie i w przenośni) snuje się opowieść o słabym, nie grzeszącym inteligencją Królu, energicznej Cyganeczce, Chytrym Radcy, odzianym w stal Generale i Kacie, który ma szlachetne serce. Dramat rozgrywa się lalki znależenia... kłownów w kufurze i oddane do rąk aktorów.

Urok kłownady, której celem jest rośmieszenie widza za wszelką cenę, znów skądinąd. Nie stroni ona od chytrów niewybrednych i w rozjażu wyoczekiwanych i umownego policzka wymierzonego przeciwnikowi, strojenia błazńskich min czy prezentowania sprawności fizycznej. W rzeczy istocie jednak one mała kłowna... je się prawdziwie głęboką miłością do ludzi i zrozumieniem życia, w którym dobro łączy w parze ze złem, a mądrość z głupotą.

Przedstawienia Lubelskiego Teatru Lalki i Aktora z równą satysfakcją ogląda widz mały jak dorosły.

KONFRONTACJE 73

kształtów, uzależnioną od punktu padania światła, realizując cztery sugestywne i po prostu ładne — nie jego wina, że znowu dostał nagrodę...

Jeśli zaś chodzi o całość „Konfrontacji 73”, zorganizowanych ogromnym dopracowaniem wysiłkiem i w warunkach niemal chałupniczych przez Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie oraz kilku członków Fotoklubu „Zamek” (z niezamordowanym Janem Magierskim na czele), to trzeba powiedzieć, że dobre intencje inicjatorów wystawy konkretyzują się w postaci dwuznacznej. Otóż wbrew nadziejom, impreza nie zdołała dotąd zainteresować wybitniejszych czy choćby bardziej znanych fotografików spoza Lublina, uczestniczyli w niej ludzie dopiero wstępujący w życie artystyczne, o wątpliwych dokonaniach, a co gorsze — o ubogim zasobie przemyśleń.

W rezultacie ton wystawie nadają prace powielające mechanicznie cały rejestr chwytów właściwych do niedawna fotografii subiektywnej. Kopolowanie rozwiązań dotychczas nam znanych z głośniejszych ekspozycji „Fotografowie poszukujący”, czynnej trzy lata temu w warszawskiej „Galerii Współczesnej” Boguckich, stało się normą „nowoczesnego” postępowania; ci młodzi ludzie albo nie mają wstydu, albo nie wiedzą o co chodzi, a jeśli wiedzą, to tylko tyle, że „działa” tak się robi w fotografii”. Biorąc przecież pod uwagę okoliczności merytoryczne, można by machnąć na to ręką, uznać za normalne zjawisko, towarzyszące młodzieży artystycznej, która musi ostatecznie od czegoś zacząć, na jakiej konwencji formalnej oprócz te swoje pierwsze działania.

Niestety, „Konfrontacje 73” nie zezwalają na zastosowanie żadnej taryfy ulgowej,

„Konfrontacje 73” godne są większego wsparcia materialnego; impreza ta powinna być kontynuowana, to nie podlega dyskusji. Należałoby jednak zastanowić się nad jej profilem. W tej chwili daleko jej do poziomu legnickich „Homo”, ekspozycji poznańskich i gdańskich. Więc przemysłmy raz jeszcze całą sprawę, starając się znaleźć ideowy wyróżnik dla „Konfrontacji”, bo tylko takie podejście gwarantuje sukces artystyczny, a więc i społeczny.

Zachęte do dalszego działania można czerpać z faktu, że wystawa w Bramie Krakowskiej, urządzona jako druga z kolei, jest zjawiskiem bez precedensu w Lublinie. Dotychczasowe przymiarki do uruchomienia stałej ogólnopolskiej imprezy fotograficznej albo nie przekroczyły sfery projektowania, albo kończyły się jednoznacznie „wystrzałem”. Przykładem wspomniana „Ogólnopolska Wystawa Fotografii Turystycznej i Krajoznawczej” z 1968 r., której inicjatorzy odgrazali się w katalogu, że „planują przekształcić ją w latach następnym w Międzynarodową Wystawę Fotografii Turystycznej i Krajoznawczej o charakterze dorocznej imprezy artystycznej w Lublinie”. Skończyło się jednak na sympatycznych pogróżkach.

„Konfrontacje” nie wydają jednak poza opłotki przeciętności, jeśli całe środowisko lubelskie nie uzna imprezy za własną i ważną sprawę, która może pełnić rolę pomostu do fotograficznej Polski. Jak dotąd, takiego przekształcenia nie ma, w omawianej ekspozycji uczestniczyło zaledwie czterech autorów lubelskich: trzech amatorów i jeden członek ZPAF. A gdzie się podziło Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne?

K.

Na garnku malowane

Alfred Gauda

BADANIA nad polską sztuką znamionuje obecnie dość znaczne ożywienie. Właśnie w Polsce Ludowej twórczość chłopska znalazła się w nowych warunkach rozwojowych; sztukę ludową uznano za wartość narodową i jako taką traktuje się równorzędnie ze sztuką pisaną przez duże „S”. Społeczne i naukowe zainteresowania twórczością ludową znajdują swoje odbicie w ruchu wydawniczym, jak i w specjalnych badaniach monograficznych. Wśród tych ostatnich na szczególną uwagę zasługuje praca Ewy Fryś-Pietraszkowej, poświęcona ośrodkowi garncarskiemu w Łązku Ordynackim na Lubelszczyźnie, którego wyroby malowane należą do najpiękniejszych w Polsce. Autorka potraktowała problem bardzo szeroko i dała w rezultacie interesujące i przynoszące sporo nowych spostrzeżeń i danych źródłowych opracowanie.

W uwagach wstępnych autorka wyjaśnia cel opracowania tematu podkreślając, że wyroby garncarskie z Łązka wyróżniają się wśród innych malowanych naczyń glinianych w kraju wyjątkowymi wartościami artystycznymi. W dalszej części wskazuje na duże zainteresowanie ceramiką z Łązka już w okresie międzywojennym, kiedy to eksploatowano ją na krajowych i zagranicznych wystawach. Działalność tego ośrodka znalazła odbicie w niewielkich artykułach w pismach krajoznawczych, w katalogach lubelskiej sztuki ludowej oraz w pra-

sie codziennej. W publikacjach zagranicznych poświęcono również wyrobom z Łązka trochę miejsca, czego przykładem może być album europejskiej sztuki ludowej Bosserta, wydany w Berlinie w 1926 r. (praca „Volkskunst in Europa”). Sporo uwagi poświęcił temu ośrodkowi T. Delimat w artykule o garncarstwie Lubelszczyzny. Wysoko oceniał ceramikę malowaną z Łązka Ordynackiego Roman Reinfuss w pracy „Garncarstwo ludowe” (W-wa 1955) — jedynym dotychczas syntetycznym ujęciu ludowej ceramiki w Polsce. Jednak do tej pory brak było szczegółowego opracowania monograficznego poświęconego ceramice z Łązka.

Praca Fryś-Pietraszkowej składa się z ośmiu rozdziałów omawiających kolejno: zarys historii wsi Łązek, dzieje garncarstwa w Łązku, organizację pracy i naukę zawodu, technikę produkcji, wyroby i ich dekorację, organizację i zasięg zbytu wyrobów, sytuację gospodarczą i społeczną garncarzy oraz zagadnienie genezy i wpływów. Publikację uzupełnia wykaz informatorów, wykaz garncarzy w Łązku w XIX i XX wieku oraz słownik garncarski. Przy takim szerokim potraktowaniu tematyki przedmiotu, znajdujemy oprócz danych historycznych, technologicznych i artystycznych także ciekawe spostrzeżenia dotyczące spraw ekonomicznych i społecznych, które podnoszą wartość opracowania.

Strona graficzna książki, (zdjęcia, mapy, doskonałe tablice rysunkowe) stanowi niezbędny element i ozdobę pracy. Jedynym malkontentem (ale bez winy autorki) jest brak kolorowych wkładek ilustracyjnych. Kolorowa obwoluta z motywami cera-



Wyroby z Łązka Ordynackiego
Fot. J. Urbanowicz

miki łądeckiej stanowi tylko skromną namiastkę tego pięknego, malowanego garncarstwa. Właśnie swoiste zestawienie kolorów i motywów wyróżnia Łązek spośród innych ośrodków garncarskich w Polsce.

Mimo drobnych usterek książka „Ośrodek garncarski w Łązku Ordynackim...” może być w pełni dobrze ujętego zagadnienia oraz cenną pozycją w naszej literaturze etnograficznej.

Ewa Fryś-Pietraszkowa, Ośrodek garncarski w Łązku Ordynackim i jego wyroby na tle ceramiki malowanej w Polsce, Wrocław 1971 r., Ossolineum, 2. 256, 160 rysunków.

NIE musiałem długo czekać na spotkanie z Liszajem, który natychmiast wkręcił mnie w swoje interesy, proponując wyskok do willi.

— Zobaczysz jak mieszkam, pogadasz z Tatusiem. Wsiadaj do mojego byka.

— Do jakiego byka?

— Do samochodu. To prezent Tatusia, ale niedługo sprawię sobie lepszy.

— Oho — myślę — Tatusia! Znalazłeś sobie w końcu kogoś, kogo z taką ochotą możesz nazywać tatusiem. To też twoje wielkie zwycięstwo.

Liszaj mówił teraz bardzo poważnie, ale nie bardzo wiedziałem, co on ma na myśli mówiąc poważnie. Wyraz twarzy miał uroczysty jak w dniu rozdania świadectw szkolnych. Pomimo tego nieistniejąca, ale czytelna wizytówka głosiła „Liszaj kombinator”. Przyglądałem mu się uważnie, a zobaczyłem go wtedy na tle kiosku „Ruchu” — to się nie mogło powtórzyć nigdzie więcej na świecie. Zza jednego ramienia wyglądał mu rudy lis i harmonijka, a zza drugiego jakiś jeszcze bardziej bezczelny tygodnik kulturalny z aktem pod bojowym tytułem.

— Pracowitość — mówi Liszaj — łączę teraz z oszczędnością, oszczędność z celowym wydawaniem pieniędzy, ale do tego potrzebne jeszcze kłopoty, żeby nie zginąć marnie w świecie ludzi demonów.

Mówiąc to podjeżdża swoim samochodem do jakiegoś obrzydnego auta firmowego i oglądając się na wszystkie strony uważnie niż przy kierownicy na skrzyżowaniu, kupuje lewą benzynę, tak zwaną turystyczną.

— Pamiętasz Szczygłków? To oni poddali mi pomysł wspaniałych kombinacji budowlanych. Tatus! Ten ma głowę! Wiesz za co zbudował młyn? Za złote zęby.

— A więc zęby przydały mu się bardziej niżeli głowa.

— Nie tylko zęby, ale nie będę ci się odgryzał. Nie jesteśmy już studentami, dzięki Bogu.

— A kiedy ty nim byłeś właściwie? — pomyślałem.

W czasie przejażdżki Liszaj jest tak zafascynowany miastem, że omal nie wjeżdża na drzewo. Tam będzie kiedyś nowe osiedle, tłumaczył, rzeźnia już stoi, a tu, tą szosą, ruch będzie jednokierunkowy, już obwodnicę budują.

Willi Liszaja była podciągnięta do pierwszego piętra. Wszystkie domy przed zamieszkaniami jak i po wyludnieniu wyglądają na ruinę. Nie widziałem w tym nic szczególnego.

— Dom musi być warty właściciela — krzychał Liszaj jak ksiądz, nawołujący do odbudowy kościoła. — Miasto nie może być tylko miejscem, w którym rozbiłem namioty. Tu będzie ogród, założę piękny sadek. Jak ja lubię róże, ginę za różami — wrzeszczał, a wrzeszczał tylko wtedy, gdy się naprawdę entuzjasmował, dlatego nigdy prawie nie wrzeszczał. Z tymi wytrzeszczonymi oczami wyglądał jak ptak budujący gniazdo, które nigdy nie zostanie zbudowane.

— Cały front będzie wysadzony kolorowymi szkiełkami, to będzie kwiatnik przeszczepiony na ścianę — te kolorowe szkiełka, którymi odgradzał się od słońca, pozostały w nim chyba jeszcze z dzieciństwa. — Patrz, jakie sąsiad ma dorodne plony — skostatowawszy to nie wytrzymał, przeskoczył przez dekoracyjny płotek, narwał cudzych owoców i poczęstował mnie nimi natychmiast. — Nie mogłem się doczekać końca budowy i posadziłem już trochę kwiatów.

— Przydałby się im deszcz — powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

Liszaj spojrział na niebo, na ziemię i zaczął się czemuś przysłuchiwać, jakby śledził odgłosy dalekiej burzy. Teraz widać w nim było chłopięcego syna.

— Przydałby się deszcz, ale się na niego nie zanosi. Muszę podać z konewki — powiedział i uczynił to z wielką ochotą mieszczucha. Z chłopca w mieście pozostaje tylko panienczka podlewnąjąca ogródek. Panienczka taka próbuje też często teoretyzować.

— Wszyscy ludzie żyją tak nieśmiało jak by mówili „ziemio, rozstap się”. Trzeba się umieć cennie przynajmniej na równowagę wagonu masła. Nie lubię nieszczęśliwych. Wyglądają tak, jak by już jechał do nich ksiądz z Panem Jezusem. Chcę być nowoczesny, nie ma co kryć. Tylko na świat przyszedłem w staromodny sposób. „Babcia” nacięła matkę krocze paznokciem prawego kciuka i wychłupnęła na świat dwudziestego wieku, który wtedy dzielnie walczył.

Zalowałem, że wybrałem się z nim do eks-ka-ruzelarza. W willi Tatusia stały chińskie czy pseudochińskie wazy napełnione do wierzchu dziesięciolotówkami — w jednej same „koperniki”, a w drugiej same „kościuszki”. Nawet zainteresowania numizmatyczne wykazywał Tatus na skalę hurtową. A może to nie numizmatyka, tylko róg obfłości, znany mi z przedwojennej reklamy „Wedla”?

Nie tyle chyba biała wprawdzie, ale przybrudzona koszula, co krawat Tatusia dowodził, że nie ma on nic wspólnego z pracą produkcyjną. Widać też było, że zmuszony do konsumpcji na pokaz nie potrafił konsumować niczego poza wodą. Siedział w otoczeniu zupełnie nowych mebli i przez to, choć po staremu pijany, wyglądał na człowieka nowego.

— Czy to jest jeden z tych twoich wariatów, na których chcesz dojść do majątku? — spytał udając, że mnie nie poznaje.

— Nie udawaj, Tatusiu, to jest mój dawny kolega z uniwersytetu — Liszaj mrugał do mnie intensywnie.

— Nie wierzę ani w ciebie, ani w twoją magisterkę kupioną za moje pieniądze.

— Nie będziemy się sprzeczać. Czy Tatus nie wypił dziś za dużo?

— Nie twój interes. I wynoś się. Idź, pracuj, kombinuj, rób co chcesz, daj tylko mojej córce dach nad głową.

Pomimo tej odprawy widać było, że Tatus aż piszczy do gadaniny.

— Ożeniłeś się? — spytał mnie w końcu. — Nie? A nie mówilem, że jako psycholog nie wyżywisz rodziny?

— Jako psycholog...

— Otóż to, słuchasz tylko do poprawiania błędów w człowieku. Chcesz naprawić świat, a on jest bezbłędny. Pamiętaj, że mleko krowy jest słodkie, ale kobyły jeszcze słodsze. — Tatus mówił przerywając co chwila, łapiąc oddech do następnej myśli. Mówiąc maksymami wyglądał jak Rzymianin w stopniu kaprałskim. A oto wybór jego maksym.

— Wpierw nie dbaliśmy o meble. Najlepsza szafa bez dwu nóg przewracała się ciągle do tyłu, na ścianę. — Tatus obliżywał się ciągle jak dziedzic po dobrym śniadaniu i rozparł się w fotelu. — Skończyłem rajzerskie czasy. Nie lubię kotów. U nas po wojnie tylko kot był tłusty i dobrze wyglądał. Nieszczęścia i szwaby go utuczyły — przepędził kota z pokoju. — Przejeżdżałem wzdłuż i wszerz kilka województw po to, żeby przesunąć się o kilkanaście metrów na tę samą rzeczce, ze wsi do miasteczka. Spokrewnilem się z lisem. Męska biżuteria tylko na nim była, poza tym goły. Najgorzej było mu się tak nagle przestawić z bru-

netki na blondynkę, ale wytłumaczyłem Beni, żeby się zrobiła na siwo, a nie zginie z Liszajem w życiu. Jego ojciec. Biedny starowina. Skórę na rękach ma grubą jak na pięcie.

Nagle Tatus przestaje mówić maksymami, opuścił go siły Rzymianina i wrzasnął:

— Czy to jest willa? Kiedyś to będzie dom dla mojej służby, albo wybieg dla psów i kotów, choć kotów nie lubię. Wystawię sobie jeszcze lepszą budę. Mam uprawnienia budowlane czy nie? Całą młodość kleciłem lepianki dla chłopów, a teraz jestem panem.

— Teraz już muszę walczyć tylko z kacem — powiedział do mnie. — Tak jak ty kiedyś na karuzeli. A ty, ekspiacyjno, już mało pijesz? Szkoda, żeście się z Beni nie dogadali, bo w końcu wzięła sobie nieuczzonego i wzdycha po nocach. Ale chłop ma nos do interesów. Tylko trochę za dużo kombinuje. Cegły na cegłę nie potrafi prosto położyć, ale nogę podłożyć umie.

— Och, Tatusiu — szepnął Liszaj, wniebowzięty tą pochwałą.

— Każdy dobry kombinator powinien wziąć sobie dla przyzwoitości państwową posadę. Stara się teraz o fuchę w waszym domu wariatów. Głupiec zawsze stanowi taką pannę do towarzystwa.

Tatus wyduśił wreszcie z siebie całą niechęć do mnie i zasapał.

— Wyobraź sobie — powiedział wzruszony Liszaj — że Tatus był w czasie wojny prawdziwym podchorążym.

— Co go to obchodzi? — oburzył się nieoczekiwanie tamten.

— Bravo! — mówię, żeby udowodnić, że coś jednak obchodzi. W tym momencie weszła Beni z torbą na zakupy i cała nasza męska intymność wzięła w łeb.

— Jak tam twoje zainteresowania plastyczno-teatralne, Beniu? — pytam, żeby znowu ratować sytuację.

— Ona z plastyki myśli teraz głównie o operacji plastycznej — powiedział Tatus zdenerwowany tą całą konwersacją.

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy, a Liszaj znowu nie wytrzymał i pojechałszy w kierunku jego willi:

— Mam jeszcze przy niej kupę roboty.

— Czy chcesz ją przerobić na blok dziesięciordzinny?

— Parę pokoi lepiej mieć w zapasie.

— Jakie interesy obmyślasz w naszym szpitalu?

— Wpierw kombinowałem na rozbiórkach, ale to groźne fuchy — odpowiedział okrutnie. — Tatus zamierza wygrać przetarg u was, a i ja nie myślę przegrywać. Tak! dureń nie jestem.

To ja byłem wariat nie dowierzając mu. Brenża budowlana wydawała mu się takim krajem Eburonów, w którym Cezar ogłosił edykt zezwalający na kradzież bez ograniczeń. Zjechali się wtedy nie tylko Galowie ze wszystkich stron, ale nawet Germanie i wyrzynali się nawzajem. Spodziewałem się, że Liszaj budował sobie nie dom, ale teatr, scenę, na której odgrywać będzie nową rolę — ustabilizowanego mieszczucha. Już teraz przymerzał się do dekoracji. A jednocześnie budując ten dom wznosił chałupę. Mieszczuch nawet stawiając mury myśli o intymnym czy funkcjonalnym wnętrzu, a on stawiał chałupę, dlatego fascynowała

go technika wznoszenia ścian, zdobywania materiałów. Hobił to, co wielu chłopów przez pokolenia: ścigał materiał.

Typowy Liszaj! Po to, żeby wybudować sobie domek, czyli, jak mówił „wille”, musiał wkręcić się do całej branży ekonomicznej i tak w niej kręcić, tak kręcić, żeby aż zamieszkać, jak to sam powtarzał.

Chłop przywiązany jest do ziemi, a mieszczuch do mieszkania — mówił jeszcze, bo chyba jako mieszczuch zaczął tak głądzić bez końca. Sprzed kilkunastu lat pamiętam go raczej jako jakalę. — Teraz dopiero zdaje sobie sprawę, że budowa willi była od dzieciństwa moim marzeniem. Mój stary miał niby największy dom we wsi, ale ta chałupa nie nadawała się nawet do remontu, do rozbiórki najwyżej. Ojciec twierdził jednakże, iż stajnia jest w oplakany stan. Więcej myślał o stajni niż o domu mieszkalnym, bo w gruncie rzeczy bardziej kochał konie niż ludzi. Nie mogłem dostać mieszkania w mieście, więc musiałem go sobie wykombinować. Wszyscy chcieliby coś budować, tak jak wszyscy chcieliby się uczyć bez końca, ale i do jednego i do drugiego potrzeba potężnej głowy. Co wart jest mieszczuch bez nauki albo bez mieszkania?

Tak to teoretyzował przy swojej budowlu, w trybie przyspieszonym pragnąc zdobyć środki i manery wykwintnych czytelników „Przekroju”.

— Miasto jest drapieżne, agresywne. Można być ofiarą, łupem, ale ja noszę w swoim herbie dra-

ZACZAROWANA KOTLINKA

Janusz Olczak

pieżnego lisa. Lisia wyprawa w świat okazuje się zawsze łupieżcza. Pensja jest dobra dla stróża budowy, co w kącie siedzi i mioty robi. Od solidnej pracy człowiek się robi ciężki jak rtec.

W czasie pobytu w niecce węglowej Liszaj też był budowlanym. Zamiast wgrzyzać się pod ziemię, wznosił się pod chmury początkowo jako pomocnik murarza. Potem mógł się wykazać przed Tatusiem znajomością branży. Ten docenił jego zdolności i dał mu córkę za żonę. Tak jak w bajce, ale czyż lisy nie są bohaterami bajek? Ooo, Tatus, ten chytry chomik, nawet przed wojną doszedł do młynarstwa poprzez murarce.

Teraz więc z teściem żyją jak Casanova, jak to się mówi w branży, bo to po włosku oznacza „nowy dom”. Tatus swoją żonę ma już za nic. Wychował swoje dzieci i kwita. Zaopatrzył się w dziesięć litrów wódki i dwie kochanki od razu w jednym pokoju. Siostry bliźniaczki ubierają się i rozbierają na każde jego wezwanie. Bliźniaczki jednojajowe są właściwie jednym człowiekiem w dwu egzemplarzach. Jeden grzech z nimi, a rozkosz podwójna.

— Dogadujemy się z Tatusiem na wszystkich dansingach, bo on przecież musi mieć podstawowego partnera dla jednej panienci, nie będąc obojętnie dwuosobowym bliźniakiem. Jestem jego alter ego od tańca. Bliźniaczki to taki udany narybek, że dochodzi o nie do awantur. Podpici młodzieńszkowie startują do tańca, a wtedy Tatus ładuje im fimfę w nos. Gdy sytuacja zaczyna być groźna i zbiera się nad Tatusiem gromada wojowników, wtedy oplacany kelner sprowadza jeszcze większą grupę fachowych zadziurów, którzy rozprawiają się z tamtymi idealistami. Na „pnie Tatus spokojnie prowadzi pierwszą parę dansingu, a ja druga.

Wydaje mi się, że właśnie na dansingach udawało się Liszajowi najskuteczniej oderwać się od dziesięciu pokoleń niepewnego pochodzenia własnej chłopskiej przeszłości. „Niepewnego” z racji rozpłodowych powikłań jego rodzica. Teraz ta niepewność jest mu chyba na rękę i Liszaj wyobraża sobie, że pochodzi w prostej linii od tego Tatusia z dansingu. Po pijanemu różne myśli przychodzą do głowy.

Zrozumiałem, że Liszaj przeszedł dwa klasyczne etapy cwaniactwa. W pierwszym chodziło mu o względy reprezentacyjne, o dowód, legitymację własnej ważności, toteż bez namysłu podrobił sobie odpowiedni glejt. Były to typowo romantyczne, młodzieńcze porwy ząbkującego kombinatora. Teraz, gdy zaczęło mu już chodzić wyłącznie o konsumpcję, hochsztapler przemienia się w zaginionego geszefciarza. Z legitymacją w kieszeni jak kogut z generałskimi ostrogami mógł być tylko Casanową, teraz tę rolę chętnie odstąpił podstarza-lemu Tatusiowi, wmawiając mu drugą młodość, godną miłości aż dwu bliźniaczek jednojajowych, które tamten mógłby raczej adoptować. Młodość Liszaja, tamten jego „uniwersytet”, to było kombinatorstwo wzniesłe, bez celów materialnych. Tam się rzeczywiście wyszkolił na fachurę, który sam sobie jest teraz skąpym księgowym.

Fragment II części „Uniwersytetów i wampirów chorążego Liszaja”, która ukaże się nakładem LSW.

Zabawy orientalne na dworze puławskim

Adam Andrzej Witusik

WIEK XVIII był dla Puław epoką wyjątkową. Dotychczasowa niewiele znacząca miejscowość stała się główną siedzibą księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, którego dwór — rojny od dygnitarzy, dyplomatów, uczonych, artystów, pisarzy, poetów — wpływał dodatnio na jej rozwój. Dwór puławski księcia Adama miał opinię rezydencji wesołej, umiejaczej się bawić. Zarówno karnawał, jak święta rodzinne, obejmowanie urzędów, powitania i żegnania przyjeżdżających i opuszczających Puław dygnitarzy — wszystko to było okazją do zabawy. W porze letniej zabawy łączono niekiedy z wycieczkami bądź konnymi, bądź wodnymi po Wiśle. Inspiratorką i duszą tych zabaw była żona księcia Adama — Izabela z Flemmingów Czartoryska, która — jak zanotowała na kartach swych wspomnień siostra księżnej kurlandzkiej, pani von der Recke — jeszcze w pięćdziesiątym roku życia dokonywała pod-

bojów miłosnych, a w młodości czarowała każde męskie serce. Chętnym do pomocy w urządzaniu wymyślnych rozrywek był też tryskający dowcipem, pełen różnych pomysłów, wychowanek i sekretarz księcia, poeta Julian Ursyn Niemcewicz. Do szczególnie ulubionych zabaw na dworze puławskim należały maskarady orientalne i widowiska, „spektakle” przedstawiające rozmaite sceny wschodnie.

Bardzo dokładny opis takiej zabawy wschodniej w Puławach pozostawiła sama Izabela Czartoryska: *Przyszło nam na myśl urządzić kawiarnię turecką nad brzegiem wąwozu przechodzącego przez ogród. Jakoż rozbito bogate namioty tureckie, przyozdobione z całym zbytkiem orientalnym. Przepyszne kobierce, porcelany japońskie i chińskie, rozkoszne wonie, wszystko to służyło do ozdoby, niemniej jak kwiaty, a mianowicie róże w wazonach otaczały namioty, cały zaś obwód zamykały pomarańcze w kwiecie. Kawę, lody, sorbety i wszelkie chłodzące napoje roznosili bogato ubrani Turcy. Zdawało się, że cała zabawa skończy się na kawie, a raczej tym podwieczorku wyprawionym w uroczym miejscu... Gdy tak wszyscy zasiedli, dała się słyszeć wschodnia muzyka, wygrywająca marsze tureckie... Wtem rozległ się odgłos tysiąca dzwonek i klaskanie biczy... Zaintrygowani tym goście rzucili się na most i na gościniec... Aż tu w głębi alei idącej ku wąwozowi ujrano ogromny tłum, zrazu trudny do rozpoznania, co jeszcze bardziej drażniło ciekawość. W miarę jak się zbliżała ta hurma, rozpoznawano postacie jeźdźców arabskich, na koniec poznano, że to wschodnia karawana, zupełnie podobna do karawany azjatyckiej pustyni. Trzysta przepysznych baranów otwierało pochód z dzwonekami na szyjach, pędzone przez ogorzalych Arabów w ciemnych turbanach, brodatych i dzikiego wzroku. Sto krów z większymi dzwonekami z wolna postępowało za nimi, a przy nich szło dwunastu młodych hajduków ubranych w turecką, w papuciach na gołych nogach, w szarawarach żółtych, w czerwonych fezach, krótkich katankach, z długimi w ręku tyczkami, którymi popędzali bydło... Następnie przepyszne czystej krwi wschodniej rumaki, w bogatych rzędach prowadzili Arabowie, siedzący na najdzielniejszych koniach. Za nimi szło dwanaście wielbłądów objuconych, przy każdym był Arab w stroju używanym na pustyni, a na grzbiecie siedział chłopczyk w czerwonym fezie i szarawarach tegoż koloru. Cała ta służba karawanowa lśniła się od złota i jadu. Na koniec pokazały się karawany przykryte, gdzie się znajdowały kobiety... Przez otwory zakratowane, porobione w płótnie, widać było ładne twarzyczki. Sama miejscowość i dokładne zachowanie szczegółów sprawiły takie wrażenie na osobach nie znających naszego kraju, że złudzenie to wzięły za prawdę i uwierzyły, że to istotnie karawana przechodząca gościniec właśnie wtedy, gdyśmy siedzieli przy podwieczorku tureckim. Polacy poznali się na tej komedii, ale znaleźli ją tak*

piękną, tak zachwycającą, że po kilka razy orszak ten musiał przeciągać przed nimi... Do tej karawany nie należała żadna z osób naszego towarzystwa, wszystko to byli służący nasi, czy to Turcy, czy kozaki dworskie, czy parobcy i dziewczęta wiejskie.

Zabawa ta nosiła nazwę „Karawany”.

Inny spektakl wschodni w Puławach zorganizowany został w roku 1803 na cześć Antonii Radziwiłłowej. Nosił on nazwę „Wjazd baszy tureckiego do Mekki”. Użyto do niego wielbłądów i wielu bogatych strojów orientalnych. W roku 1822 był również w Puławach bal, na który przybyli Turcy, Grecy, Chińczycy. Do głośnej zabawy orientalnej, zorganizowanej tym razem w Warszawie, należała mistyfikacja księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego: „Wziął on sobie na oddalonym przedmieściu stolicę stancję i puścił wieść o przybyciu uróża, czyli proroka chińskiego. Zjeżdżał tam o pewnych godzinach, w których przyjmował osoby ciekawe swych przyszłych losów. Znając zaś wszystkie związki społeczeństwa, trafił osobom płci żeńskiej z wyższego rzędu do mniemanego uróża uczęszczających, z niemalym ich podziwieniem, w wszystkie ich stosunki. Ubiór jego dziwny, plaster duży położony na jednym oku, czynił go zupełnie niepoznanym”. Towarzystwo warszawskie śmiało się z tego żartu, jakkolwiek niektóre osoby były oburzone brakiem powagi księcia.

Barwność i swoboda obyczajowa nadawały tym zabawom, maskaradom i balom wiele uroku. Nie było nic bardziej czarującego jak takie bale — stwierdził jeden ze współczesnych. Oprócz zachwytoń, zdarzały się i mniej entuzjastyczne wypowiedzi na temat owych orientalnych maskarad i bali: *Po północy zebrali się maski, ale nie było żadnej, która by się specjalnie wyróżniała. Księżna Radziwiłłowa i jej córka przebrały się na Cyganki, ale można je było z łatwością rozpoznać. Księżna Czartoryska jako gospodyni balu była nadzwyczajnie uprzedzająca i miła. Kiedy już zebrali się maski, zaczęto roznosić poncz, a zapach palonej kawy przedostawał się do sali. Z powodu gorąca i różnorodnych zapachów zrobiło mi się tak niedobrze, że zemdlalabym, gdyby nasz dobry Jabłoński nie wyprowadził mnie na świeże powietrze i nie postarał się o karetkę.*

Przy wszystkich swoich śmiesznościach i snobizmach moda orientalna, która z taką siłą ogarnęła nasze życie u schyłku XVIII wieku, miała wiele elementów pozytywnych i kulturalnie płodnych. Może to się wydać paradoksem, ale stroje tureckie i chińskie, sorbety i kawa, porcelana japońska i kobierce perskie, muzyka orientalna i widowiska przedstawiające rozmaite sceny wschodnie — wszystko to budziło nowe gusty, kształtowało nowe kryteria estetyczne, pobudzało do zainteresowań, rozszerzało horyzonty.



Bal w pałacu magnackim. Akwarela J. P. Norblina.

WOSTATNICH swoich latach nie miał już Fredro sil do wielkiej dramaturgii, uprawiał więc formy mniejsze, przeważnie satyryczne lub liryczne. Najwymowniej wypowiadał się w satyrach. Atakował różnych szkodników gniewnie i gwałtownie, uderzał inwektywami albo ironizował z żółciową zjadliwością. Była w tym siła, a nierząd — prawda tak wymowna, że sens jej wyrastał na tle czasu niby znak przestrogi.

Do takich satyr należy „Wet za wet”.

Zaczyna się rzecz niewinnym pytaniem:

Cóż to, panie sąsiadzie? jakaś kwiśna minaz? Czy ci literatura przykrzyło się zaczyna?

Mamy więc zrazu wrażenie, że powtórzy się historia „Chudego literata”, coś z satyry stanisławowskiej, ale nie — otrzymujemy rzecz nową i oryginalną, satyrę przeciwko zakłamanemu społeczeństwu i obyczajowemu, portretowi bliźniaka i aferzysty w jednej osobie.

Tematyka ta przejawiała się u Fredry dość często. Przypomnijmy

sobie tylko arystokratyczne mistyfikacje pana Geldhaba, kłamstwa na tle erotomanii w „Mężu i żonie”, błagę Astolfa w „Cudzoziemczyźnie”, Münchhauzenady Papkina, hochsztaplerstwo Jęniakiewicza w „Wielkim człowieku do małych interesów” i szalbierstwa Serafina w „Ostatniej woli”.

Tym razem ukazuje nam Fredro nową odmianę zakłamania, postać bliźniaka profesjonalnego.

Bohater ów — zanim rozpoczął swój haniebny proceder — był uczciwym literatem-publicystą.

Niewiadom z początku. Szukałem zawsze prawdy, choćby tylko w wątku. Lowiać ciągle nowinki, twierdzi bruk ścieratem, Aż za artykuły na buty nie miałem.

W końcu przeklął literaturę:

Niech ją tam licha bierze, tę literaturę! Co mi, jakby z węgorka, żywcem ściągą skórę;

I tu — konstatacja: koledzy Wierutne niedotęgi... wierutne... a przecie Doszli do niejakiego rozgłosu po świecie.

W czym tkwiła tajemnica ich powodzenia?

W publicystyce, w której „nonsens przy logice, fałsz przy prawdzie idzie.”

FREDRO-

Porzucił więc nasz „publicysta” prawdę i jał się „kłamstwem”, najpierw „trochę”, a że szło coraz lepiej, więc kłamał „coraz więcej”, aż „stanął na nogach” i zdobył się nawet na własny „dzienniczek”.

Potem spróbował wspiąć się wyżej:

Chciałem na wzór paryski, by zwiększyć dochody, Tak nazwany tam chantiage tu ucinając do modu; Ale świat nasz jest teraz za cyniczny na to, By skandalu uniknął za pewną opłatą.

Otóż i żale niefortunnego szantysty!

Czytelnik przeciera tu oczy. Tak, to już arcy cynizm. A dochodzi jeszcze zmartwienie. Chciał nasz bohater:

Jak wiedeńskie dziennikarstwo całe Sprzedawać przedsiębiorstwom żądawo lub postawo. Ale kogo wiedeńskie wysłały piosenki, Ten u nas rzecz roztrząsa chyba tylko dla zabawy.

Konkurencja tak go „ogranicza”, że marzyć nawet nie może o jakichś poważniejszych przedsięwzięciach. Tak to na podwójnej grze przesła się jego los — i jedno mu tylko pozostało: paskwilanctwo!

Plutem ciągle moralatem, honorem, uczynem. Ale kąsałem wściekle, bo żyłem wściekłym.

Aż wreszcie — nieszczęście. Odwiedził go cztorej zamaskowani panowie!

Huz! ...do mnie i po mnie! Koniec konców, mój panie, zabił mnie ogromnie!

I poeta: sąsiad, wysłuchawszy wszystkiego uważnie, powiada, że

WEDŁUG „Spisu telefonów województwa lubelskiego 1970/71” — Lublin miał jedno automatyczne połączenie z szerszym światem, a mianowicie z Warszawą. Według ostatnio wydanego „Spisu telefonów województwa lubelskiego 1974/75” — Lublin ma ponadto automatyczne połączenia jeszcze z jedenastoma miastami wojewódzkimi. Według Romana Bratnego — w sierpniu 1944 roku powstańcy warszawscy, żeby się skontaktować ze swymi odciętymi kolegami z sąsiedniej ulicy, musieli szukać połączenia radiowego przez Londyn, co ma swoją wymowę nie tylko czysto techniczną. Lublin, żeby się połączyć automatycznie z jakimś spośród jedenastu miast wojewódzkich, szuka drogi przez Warszawę, co też ma swoją wymowę, tylko że całkiem inną. Nawet z Katowicami i Gdańskiem Lublin łączy się przez Warszawę. Po prostu — w pierwszej wykreca się numer kierunkowy do stolicy, a potem wykreca się numer kierunkowy warszawski do odpowiedniego miasta wojewódzkiego. Spróbowałem nawet w Lublinie połączyć się z Lublinem przez Warszawę. Wpierw wykreśliłem numer kierunkowy do Warszawy, następnie stołeczny numer kierunkowy do Lublina i otrzymałem sygnał „wojny”. Coś nawet jakby lepiej było słyszeć, kiedy się Lublin

z Lublinem łączył przez Warszawę. Znacznie lepiej niż przy bezpośredniej rozmowie przez lubelską centralę.

Prosta książka telefoniczna, obiekt podśmiewajek (jak w słynnym „kawale” o piaku, co czytał ją niby powieść, tylko narzekał, iż za wielu

bohaterów), a więc prosta książka telefoniczna — jeśli ją czytać na trzeźwo i z pewną dozą refleksji — staje się dziełem niemal filozoficznym. I na podobieństwo wszystkich dzieł, wychodzących spod pióra człowieka, w momencie, kiedy się ukazuje, jest już przestarzała. Aczkolwiek ma jedną zaletę podstawową — że jest najbardziej demokratycznym dziełem człowieka. Bohaterowie główni i postacie uboczne stoją tu w jednym szeregu, pogodzeni porządkiem alfabetycznym. Stoją i będą stać w tej książce (aż do następnego wydania?) także ci bohaterowie, którzy już nie żyją (nawet od pięciu lat!) albo którzy wyjechali z tego miasta, kiedy nie było połączeń automatycznych przez War-

szawę. Ci skończyli już swoje role w tej powieści. Ale są jeszcze tacy, co nie skończyli swoich ról, a tylko zmienili emplot.

Tak więc zwykła książka telefoniczna może budzić niemałe emocje. Choćby jako spis naszych wrogów albo spis ludzi, których bardzo nie

nośnią nie jest znany panu autor tego cytatu, ale może bohater kogós panu przypomina?”

Jak w każdym dziele ludzkim — w książce telefonicznej musi być trochę bałaganu. Szukam oto hasła „redakcje” i znajduję: „Głos Budowlanych”, „Kamena”, „Nasza Wieś”, „Rolnik Lubelski”, „Sztandar Młodych”. A gdzie „Sztandar Ludu” i „Kurier Lubelski”? Pod odpowiednimi literami — oddzielnie. Już mi jakieś dawne myśli zaczynają chodzić po głowie, ale oddzielnie znajdują też „Za i Przeciw”. I już wiem, gdzie jestem — po prostu bałagan. I na polecenie odnajduję w „Dodatku” jeszcze raz „Sztandar Ludu”, „Kurier Lubelski” i „Kamena” (w tej właśnie kolejności) jako pisma RSW „Prasa—Książka—Ruch”, zgrupowane obok siebie.

Podnosi się poziom usług telekomunikacyjnych w naszym kraju, i to jest fakt. Choć nie obywa się czasem bez bałaganu informacyjnego, i to jest drugi fakt. Najważniejsze jednak, że mamy automatyczne połączenia przez Warszawę. Pozwalam sobie polecić wnikliwą lekturę książki telefonicznej. Przypuszczam, że znajdą się ludzie, którzy nie potrafią zrozumieć potrzeby wnikliwej lektury książki telefonicznej. Ci niech nocą, spoceni ze strachu, oczekują mojego straszego telefonu.

Pocij

Z LEKTURY KSIĄŻKI TELEFONICZNEJ

lubimy, ale musimy ich tolerować obok siebie w tak zwanym życiu codziennym. Przychodzi ochota wykreślić numer i anonimowym, zduszonym głosem powiedzieć, co się o facecie myśli. Nie tam żadne: „Czy pan Jeleń? — pif, paf”, ale przycytować na przykład taki fragment z „Małego Księcia” de Saint-Exupéry’ego: „Znam planetę, na której mieszka pan o czerwonej twarzy. On nigdy nie wahał kwiatów. Nigdy nie patrzył na gwiazdy. Nigdy nikogo nie kochał. Niczego w życiu nie robił poza rachunkami. I cały dzień powtarza tak jak ty: „Jestem człowiekiem poważnym, jestem człowiekiem poważnym. Nadyma się dumą. Ale to nie jest człowiek, to jest grzyb”. I od siebie: „Z pew-

POD PARAGRAFEM

Dziewczynka z zapalkami

dziewczynki była u niego w zagrodzie przed wyjazdem do Lublina, wypili z bratem jego żony jakieś wino i poszli sobie, o malej nie napomykając ani jednym słowem.

Ten sąsiad właśnie napisał do sądu dla nieletnich w Lublinie, że dziewczynka jest u niego już dwa miesiące, matki nie widać, on ma pięcioro dzieci na utrzymaniu i żeby ktoś zajął się tą sprawą. Sąd dla nieletnich wysłał pismo do prokuratury o wszczęcie dochodzenia — gdzie znajduje się matka i dlaczego porzuciła córkę, czy ma zamiar i jest w stanie opiekować się dzieckiem oraz kto jest ojcem dziewczynki i czy ten ojciec partycypuje w wychowaniu i kosztach utrzymania swego dziecka?

Na razie pytania te nie znalazły wyczerpującej odpowiedzi. Matkę udało się raz tylko przesłuchać. Twierdzi, że nie zamierzała porzucić dziewczynki, a jedynie ją „przechować” u starej kobiety przez dwa dni. Do Lublina pojechała po zakupy, została pobita, ale nie wie, kto ją pobił. Leczyła się, a następnie pojechała w teren na zarobek, bo ciężki los zmusza ją do takiej pracy, na roli u ob-

cych ludzi. Córkę zamierzała potem odebrać. „Pocij”, to znaczy kiedy? Muszę przyjąć, że ta kobieta jest względnie normalna, inaczej o całej tej historii nie ma sensu pisać.

Pięcioletnią Beatkę przysparza tymczasem żona milicjanta z miasteczka powiatowego. Małżeństwo to jest bezdzietne. Tę dziewczynkę z zapalkami wzięli tak, jak stała, w jednej sukience, sweterku i podartych sandałach, zaniedbaną i chorą. I ona do swej nowej opiekunki zaczęła mówić „mamusiu”. To jest najbardziej ludzki moment — jak dotąd. Bo cierpliwość i litość obcych ludzi ma bardzo rygorystyczne granice, a ci, co zetknęli się z matką dziecka — kręca. Stara kobieta mówi, że jej w ogóle przedtem nie znała. Sąsiad starej kobiety też. Brat żony sąsiada twierdzi, że pewnego dnia przyszła do jego zagrody jakaś kobieta z dzieckiem, a ponieważ padał deszcz, pobyły do wieczora i poszły, podobno na odpust do Bychawy. On nie więcej nie wie.

Co w tej sytuacji może sąd? Może pozbawić matkę praw rodzicielskich, choć to nie jest decyzja łatwa, i powiadomić o swej decyzji wydział dla nieletnich, który dalej będzie prowadził sprawę, aż do uregulowania kwestii opiekuńczych w ramach możliwości, jakie stwarza nasz system społeczny. Na razie wszak matka będzie sądzona z artykułu 187 § 1: „Kto wbrew obowiązkowi troszczenia się o osobę poniżej lat 15 albo o osobę nieporadną ze względu na jej stan psychiczny lub fizyczny osobę tę porzuca, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5”.

W ten oto sposób prawo stworzone przez ludzi egzekwuje od człowieka te powinności, które są mu podobno wrodzone jako instynktowny imperatyw biologiczny przedłużenia ludzkiego gatunku. Piszę to na marginesie sprawy kobiety-matki. A o kobietach powiada się, że ponoć są bliższe natury...

POM

WSADZIE powiedziano mi, że ta sprawa należy do niezmiernie rzadkich, i to jedyna pociecha w tym przypadku, jeśli w ogóle rozmiary jednostkowej tragedii ludzkiej wolno przeliczać na „pocieszające” wskaźniki statystyczne.

Bardzo chciałem zobaczyć tę matkę wyrodną — jak wygląda i jak przed sądem tłumaczy to, co zrobiła, jakie dla siebie znajduje usprawiedliwienie. Ale ona na dwie kolejne rozprawy nie stawiała się i od początku jest trudna do uchwycenia dla wymiaru sprawiedliwości, choć już raz zeznała w swojej sprawie.

Co o niej wiemy? Ze ma 27 lat, jest panną z dwojgiem dzieci (4 i 5 lat), ukończyła szkołę podstawową, nie posiada stałego miejsca zamieszkania i stałej pracy. Podobno „prowadzi się niemoralnie” (według opinii MO). Mieszkała w Kołobrzegu, gdzie była pokojówką w domu wczasowym, mieszkała w Zgorzelcu, Biedrzychowicach, jakiejś Starej Wsi... Na wszystkie adresy sąd wysłał wezwania. Bezkutecznie. A przecież od pół roku jedna jej córka znajduje się u obcych ludzi, porzucona przez matkę i zapomniana, a druga od dawna u dalekich krewnych.

Latem 1973 roku ta kobieta, ten cień matki, jeździła od wsi do wsi po Lubelszczyźnie, pracowała dorywczo u rolników jako doraźna pomoc sezonowa. Małą brała wszędzie ze sobą, w tej jednej sukience i jednym sweterku. Jakoś bidowały wspólnie. Pod koniec czerwca zostawiła dziewczynkę u starej kobiety, której już przedtem pomagała przy zbiorach rzepaku. Powiedziała, że jedzie do Lublina załatwiać jakieś swoje sprawy i wróci za dwa dni, a jak by co, to niech gospodyni zaprowadzi małą do sąsiada, który jest uprzedzony o całej sprawie. I wyjechała. Minęły dwa dni — staruszka odprowadziła dziecko do sąsiada, który zeznał potem, że o niczym nie był uprzedzony, matka

SATYRYK

Eugeniusz Gołębiowski

leżak trzeba jakoś „walczyć za opinię”. Ale tamten dziwi się:

Opinię! — żadnej nie mam i nigdy nie miałem, i każdemu, którego błotem obrzucałem, byłbym chętnie i kadm, gdyby był zapaleń.

Otóż to. Nastąpiła tu kapitalizacja wartości moralnych. Połączyły się: słowo, towar i jego rynkowa cena. A wierzyć się nie chce, by w ówczesnej Galicji, gdzie, bądź co bądź, nie brakło idealów obywatelskich, mogli grasować tego rodzaju „publikiści”. A jednak byli tacy. Niewiele się o nich wiedziało, działali bowiem w ukryciu i tak umieli się zrecznie maskować tajemnicą zawodową czy nawet urzędową, że niejeden z nich uchodził za wybitnego społecznika. Prosperowało im się nieźle, mieli bowiem wpływowych patronów. Ale

czasem, gdy dochodziło do nazbyt ostrych rozgrywek konkurencyjnych, wybuchał skandal, wkraczał musiał sąd i sprawa nabierała rozgłosu. Satyra „Wet za wet” jest właśnie odbiciem jednego z takich procesów (1870). Bohaterem jego był m. in. lwowski publicysta-literat Jan Lam. I tak to zbiegł się protokół urzędowy z satyrą. A już najciekawsze jest to, co powiedział Lam w sądzie: „Ja nie mam żadnego majątku i jedyny sposób utrzymania mam przy dziennikarstwie. Płacą mi, więc piszę, piszę, to, czego wydawca potrzebuje i wymaga.”

Swoją galerię satyryczną wzbogacił Fredro jeszcze szeregiem innych figur. Są wśród nich i dwaj naukowcy. Ci posługują się subtelniejszymi metodami i mają wyższe cele.

Tytuł poświęconej im satyry brzmi „Doktorowie”.

Ten, co czapkę doktorską na uszy naciska,
Zaraz stawia drabinkę, co aczkolwiek niska,
Ma jednak swoje szczeble, i po nich się drapie;
Gdzie? nie dba, byle wyżej; co śapie, to śapie.
Przesostwo mu pachnie, chociażby tudowe,
Syndykat jaki taki podniósłby mu głowę,
Sekretariat korzystny, zawsze tam coś kropnie (...)

Zdobyleś popularność — wszystko flaj mi! —
Na wiedeńskich bezdrożach właścicie
Wiedzę to targowisko urzędów, honorów,
Gniazdo ideologów, ojczyzna doktorów.

Miała i ta satyra swoich adresatów, m. in. był nim Florian Ziemiałkowski. Jakże osobliwie toczyły się koleje jego życia. W młodości spiskował przeciwko zaborcy, ale potem, zaplątawszy w sieć galicyjskiego „parlamentaryzmu”, skończył — ku powszechnemu zgorzgnięciu — na konformistycznej karierze. Fredro tak to przedstawił:

Ciepła stajenka, cukier, doborowe ziarno —
Wszystko to zrobi wkrótce opozycję marną.
Już się daje (karierowicz) poglaskać, już grzbietać ugiął

Ba, nawet już pod jeźdźcem z pariesów się spina,
A jak gabinetowe zapachnęły progi,
Nie wierzgnął ani razu pod pchnięciem ostrogi.

Tak to amtmami wiedeńscy umieli przekabacać ludzi.

Ale nie tylko w Galicji frymarczyło się słowem i myślą. Czasy były takie, że proceder ten rozkwitał na całym „wielkim świecie”, a już najbujniej we Francji.

Fredro wiedział o tym: „Piśmiennictwo francuskie czuć rzemiosłem. Każdy teraz pisać będzie przeciw natchnieniu, przeciw przekonaniu, jeśli tylko może wiele pieniędzy zyskać.” („Trzy po trzy”).

Świadcstwa satyryczne Fredry obejmowały zatem nie tylko kraj rodzimy, ale szerszy — europejski.

Dziwne tylko to, że świadectwa te z dawien dawna pozostają jakby w cieniu. Ba — rozpowszechnia się nawet „naukowy pogład”, jakoby Fredro „satyrykiem nigdy nie był”. I to ma tak zostać?

Fragment monografii

Kultura 1973

Zmarli

W Słobowym koło Poronina 71-letni Andrzej Skupień-Florek, wybitny twórca ludowy Podhala, znakomity gawędziarz (m. in. laureat „Sabalowych bajan”), zastępcy działacza społeczny, a także publicysta i organizator życia kulturalnego na Podhalu.

Literatura

Członkowie Biura Politycznego Jan Sztybel i Józef Tejcma oraz sekretarz KC PZPR Jerzy Łukasiewicz przyjęli przedstawicieli ZG ZLP oraz sekretarzy POP przy Oddziale Warszawskim ZLP. Omówiono aktualne problemy środowiska literackiego, a także niektóre zagadnienia ruchu wydawniczego.

Na zamku w Świdwinie odbył się kolejny finał konkursu poetyckiego im. Jana Śpiewaka. Główną nagrodę wraz z sześcioma kluczami do zamku zdobył młody poeta Zygmunta Fisa ze Szczecina.

Laureatem dorocznej nagrody mieszczyzna „Odra” za całokształt twórczości prozatorskiej został pisarz krakowski Kornel Filipowicz.

W Warszawie, Katowicach, Poznaniu i Krakowie przebywała delegacja pisarzy radzieckich,

której przewodniczył sekretarz Związku Pisarzy BPSRR Wiktor Tejpugow. Goście zapoznali się z aktualnymi zagadnieniami życia literackiego w Polsce oraz wymienili informacje o pracach oddziałów Związku pisarzy w PRL i ZSRR.

Biblioteka Instytutu Badań Literackich otrzymała w darze od zamieszkałego w USA Polaka, Tadeusza Sulca, rękopisy wierszy J. Tuwima i J. Lechonia, a także listy J. Lechonia, Zofii Malczewskiej, Ryszarda Ordynskiego i innych.

W bibliotece Akademii Nauk Białorusi otwarto wystawę, poświęconą 175 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza.

„Marta natura z wasami” — to tytuł antologii polskich opowiadań i miniatur satyrycznych i humorystycznych, która ukazała się w Moskwie w nakładzie 100 tys. egzemplarzy.

W Nowej Zelandii ukazało się tłumaczenie książki polskiego podróżnika i dziennikarza, Sygurdur Wiśniowski, pt. „Dzień Królowej Oceanii”. Autorem przekładu książki, która u nas ukazała się już ponad sto lat temu, jest zamieszkały w Nowej Zelandii prof. Jerzy Podstański.

Teatr

Aktor Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi, Feliks Zukowski,

obchodził 90-lecie pracy artystycznej, grając rolę Jamesa Tyrone'a w sztuce Eugene O'Neill'a — „Zmierzch drugiego dnia”.

Teatr Dramatyczny w Warszawie wystawił komedię satyryczną Zawłocznego „Bartleby” w reżyserii Witolda Skarucha.

W warszawskim teatrze Ochoty odbyła się premiera sztuki „Homo Mollis” według książki pisarza flamandzkiego Warda Ruyslincka „Bezerkat”. Adaptacja Jana Machulskiego, reżyseria Haliny i Jana Machulskich.

W Zielonej Górze odbyła się polska premiera sztuki Wiktorii Rozowa pt. „Rywale” w reżyserii Krzysztofa Ziemińskiego.

Teatr im. Stefana Jaracza z Olkusza wystąpił dwukrotnie w Leningradzie ze sztuką Tadeusza Różewicza „Kartoteka”.

Kilka teatrów radzieckich przygotowuje wystawienie nowej sztuki, której autorami są Michaił Maklarski i Kirył Rapoport. Bohaterką jest kobieta — oficer śledczy, która „nakrywa” groźny gang młodzieżowy.

Sztuka

Do 31 grudnia czynna jest w Warszawie Wystawa Zachęce VI Ogólnopolska Wystawa Grafiki, na której pokazano 100 prac 100 autorów. Na wystawie można nabyć każdą z eksponowanych prac.

Premier Piotr Jaroszewicz otworzył w warszawskim Muzeum Narodowym wystawę „Komisja Edukacji Narodowej i jej epoka”.

Jak się okazało, mieszkanka Katowic Eugenia Kuźnicka posiada 37 portretów własnych, namalowanych przez Stanisława Ignacego Witkiewicza. Z tych pastelów właścicielka utworzyła ostatnio prywatną galerię w swoim mieszkaniu przy ul. Poniatowskiego 16 b.

Powstają dwa unikalne w kraju muzea: w Szczecinku — kultury lasu, a w Człuchowie —

ochrony środowiska wód źródłowych.

Mieszka Polka, Krysia Turka, otrzymała pierwszą nagrodę na ogłoszonym przez Związek Czystej Brytyjskiej konkursie na najlepsze ilustracje książek dla dzieci.

Włoska ekspedycja archeologiczna odkryła w południowej części Sahary ponad 40 obelisków pokrytych płaskorzeźbami, każdy z nich wysokości 4 m. Przypuszcza się, że jest to ślad jakiejś prehistorycznej, nieznananej dotąd cywilizacji.

Muzyka

Z dużym powodzeniem wystąpiła w Warszawie Orkiestra Symfoniczna Filharmonii z Zagrzebia, istniejąca już prawie 30 lat.

Nasza słynna sopranistka Teresa Kubiak podpisała trzyletni kontrakt z wiedeńską Staatsoper. Będzie jednak ponadto występowała zarówno w kraju jak i na innych scenach świata.

Na Węgrzech istnieje około 1000 amatorskich zespołów młodzieżowych, które cieszą się dużą popularnością. Zespoły te najczęściej uprawiają muzykę beatową i pop.

Film i telewizja

Na festiwalu filmów dokumentalnych i krótkometrażowych w Lipsku film Sergiusza Sprudina „Lowca” — o pracy rybaków dalekomorskich — zdobył „Złotego gołębia”.

Reżyser radziecki Eldar Riazanow przy współpracy aktorów włoskich realizuje w Moskwie komedię „Wiosna w Rosji”.

Wielką nagrodę francuskiej Akademii Filmowej dla najlepszego filmu fabularnego otrzymał Henri-Georges Clouzot za film „L'Enfer” („Piekielna kocha”).

Różne

W Radziejowicach pod Warszawą odbyło się spotkanie przedstawicieli wszystkich środowisk twórczych z członkami środowiska literackiego i sekretarzem Biura PZPR, Franciszkiem Szymanką. Mówiono o roli twórców w życiu kulturalnym kraju.

Od stycznia 1973 roku studium w Lublinie zostanie na latach ubiegłych programem oświatowo-muzycznym, przeznaczonym głównie dla szkół.

Lubliniana

Przez trzy dni występował w Lublinie Teatr Dramatyczny z Wałbrzycha, prezentując musical Zbigniewa Adriańskiego „Kochanki” w reżyserii Ewy Kosińskiej.

Barbara Hesse-Bukowska i Regina Smendzińska — do dnia niedawnego solistki Filharmonii Lubelskiej, ponownie dyrygentem Sinfonii Gellera z NRD.

W przyszłym roku szkoła podstawowa im. Grzegorza Prądnickiego w Kurowie będzie obchodziła 100-lecie istnienia.

Laureatami ogólnopolskiego konkursu młodych skrypców zostali Krzysztof Ruppel, Anna Błażakówna, Ewa Kadejowa i Stanisław Tomaneck — wszyscy z Lublina.

Zapowiadane już wcześniej Studium Wiedzy o Regionie zostało otwarte. Organizatorami są PTTK, TWP i WKFFIT.

Noty i notki

W zbożnym pragnieniu zapoznania swych czytelników z prozą najnowszego laureata nagrody Nobla, Patricka White, łódzkie „Odgłosy” (nr 47) zamieściły przekład fragmentów jego powieści „Wiwisekcia”. Pani M. Skibniewska dokonała tak starannego wyboru owych fragmentów, iż nie nie potwierdza notki redakcyjnej, że „Wiwisekcia” to „biografia australijskiego malarza, bez reszty oddanego sztuce”. Chyba że za sztukę uznamy takie sformułowania, które niemal bez reszty wypełniają owe fragmenty: „rzuciła się na niego... próbował połknąć płatek jej rozpalonego ucha... o mało nie zerwał jej podwiązki... zaczął rozgniatać jej pierś... nim poznał smak drobnych, elastycznych sutek... zrzucił ubrania w pookoło... zażądała najbardziej zdeprawowanej pieszczoty”.

Tyle efektowne co nieprawdziwe zdanie przeczytałem w artykule Zbigniewa Florczaka „Prehistoria moja miłość”, zamieszczonym w miesięczniku „Kultura i ty” (nr 12): „Nie ma gorszej rzeczy, jak dziedziczyć po kimś obiekty miłości”. Coś mi się wydaje, że tylko jeden Adam był pozbawiony takiej możliwości. Jestem natomiast prawie pewien, że gdyby żyła w całej krasie Wenus z Milo lub trojańska Helena — autor chyba zgodziłby się na dziedziczenie. Bo ja tak.

Z przerażeniem dowiedziałem się z „Kurier Polakowski” (nr 289), że Nauczycielska Spółdzielnia Mieszkaniowa „Oswiata” w Warszawie sprawiła sobie komputer, aby obliczać lokatorom wysokość miesięcznego czynszu oraz zapasy w magazynach. Niestety nie dowiedziałem się, jakie to są zapasy — w stylu wolnoamerykańskim, klasycznym czy judo. Faktem natomiast jest, że dziesiątki wielkich przedmiotów przemysłowych, decydujących o naszej gospodarce, nie może nabyć takich komputerów, bo ich produkcja wciąż jeszcze nie pokrywa zapotrzebowania. Ale „Oswiata” będzie wiedziała, czy komuś zaokrąglić pół grosza w dół czy w górę.

Nasza kochana PAP czyli Polska Agencja Prasowa nie grzeszy zbytnią wiedzą historyczną. Z okazji Dnia Podchorążych „pu-

ciła” w kraj wiadomość, że „przed Belwederem — miejscem skład podchorążowie pod wodzą Piotra Wysockiego przed 143 laty wyruszyli do walki o wolność”. W szkołach uczyli i uczą, że w Belwederze mieszkał wielki książę Konstanty, a podchorążowie w Łazienkach i że nie oni ruszyli na Belweder, ale cywilni spiskowcy, natomiast podchorążowie atakowali koszary gwardii konnej przy Agrykoli. Najgorsze zaś, że „poprawka historyczna” PAP ukazała się w kilku pismach.

Właściwie to muszę się ująć za jakimś facetem z Wąbrzeźna, któremu MO wlepia wysoki mandat za to, że jechał samochodem „Warszawa” po torach kolejowych pomiędzy dwoma stacjami. Bo czy widział ktoś, poza niektórymi stacjami, napis, że po torach samochodem jeździć nie wolno? To prawda, że trochę niewygodnie, ale dla odmiany żerańska FSO może być dumna z wytrzymałości produkowanych przez siebie pojazdów.

W „moim” sklepie mięsno-wędliniarskim przy ul. Róży Luksemburg w Lublinie wywieszono czerwony napis, iż drob kupuje się poza kolejką. Nie wiem dlaczego, gdyż jest bardziej uprzywilejowana od wieprza, ale odczuwam jeszcze większe rozdwojenie jaźni, gdy chcę kupić jednocześnie goś i kawalek schabu świńskiego. Czy poza kolejką mam kupić legalnie drob i równocześnie nielegalnie schab, czy stanąć grzeźnie w kolejce po schab i kupić także pozakolejkowo goś. Ekspedientka wyjaśniła, że w tej sprawie nie otrzymała instrukcji.

JOD

W kalendarzu ściennym na rok 1974, wydanym przez Książkę i Wiedzę, na kartce z datą 13 stycznia przedstawiono bogactwo gwary polskiej. Autorzy podają, a redaktorzy przepuszczili, że np. pieniek do rąbania drzewa oznaczany jest 22 wyrazami i że „od Kepna w woj. wrocławskim po okolicie Nowego Targu zwie się go np. gnatem”. Gnaty na takim pienuku polamać poprawiaczom geografii. (Nad. Antoni Myszakowski z Sycowa).

W nr. 22 „Kamery” jest, jak zwykle, krzyżówka, a obok hasła. Wśród nich „Poziołmo 10 — żona Hektora”. Siegam po encyklopedię oraz słownik języka polskiego i czytuję: Andromacha. Ale w krzyżówce się nie mieści, słowo zbyt długie, pasuje natomiast — Andromaha. A może Hektor miał dwie żony? Chyba jednak to „Kamery” wprowadziła dodatkowe, acz niezgodne z językiem polskim utrudnienie. (Nad. Henryk Adamczyk, Ruda Śląska).

Nagrodę w wysokości 100 zł przyznajemy p. Henrykowi Adamczykowi.

Ekran i widz

Made in „Playboy”

PRZY ekskluzywnej londyńskiej Park Lane, tuż obok monumentalnej sylwety hotelu „Hilton”, wznosi się nowoczesny, elegancki budynek. U wejścia umieszczono tabliczkę z wizerunkiem stylizowanej głowy królika, poniżej — monitor telewizyjny, pozwalający przechodniom zajrzeć do wnętrza budynku. Króliczy emblemat wskazuje, że tutaj mieści się fragment „imperium” Hugh'a Hefnera, jeden z „Playboy-clubów”, obejmujących swą siecią wszystkie większe stolice świata zachodniego. Zaś pomysły z telewizorem uzmysławia rutkość i umiejętność Hefnera w reklamowaniu swoich przedsięwzięć.

Business Hefnera polega, ujmując rzecz najbardziej lapidarnie, na stwarzaniu młodym ludziom iluzji obracania się w świecie jaki znają z komercyjnych filmów lub ilustrowanych magazynów, świecie Miami i Saint-Tropez, pięknych dziewcząt, ekskluzywnych kasyn gry, rasowych samochodów. Namiaszkę takiego życia można znaleźć w klubach, w umiejętnie redagowanym miesięczniku „Playboy”, w samym na koniec sposobie bycia Hefnera stylizującego się na wzór „złotego młodzieńca”.

Trzeba oddać Hefnerowi, że przy całej tandancie proponowanych przez niego norm moralnych czy filozoficznych posługuje się on w swojej grze wcale nie tandetnymi pionkami. Efektowne wnętrza klubów, doskonała obsługa, a w dziedzinie wydawniczej — znane nazwiska ze świata literatury, plastyki, fotografii, wysoka dbałość o szatę graficzną. Być wyznawcą lub współpracownikiem Hefnera to znaczy należeć do bardzo specyficznego, snobistycznego, „modnego” świata. Hefner kreując się, gdy zachodzi tego potrzeba, na mecenasa współczesnej sztuki, szczególnie troskliwie zajmuje się ludźmi, których nazwiska związane są z jakimiś głośnymi skandalami. Przecież ma wpływ na uatrakcyjnienie jego przedsiębiorstwa.

Nie bez swoistej więc racji, zakładając niedawno własną wytwórnę filmową, zwrócił Hefner uwagę na Romana Polańskiego, reżysera o ustalonej światowej pozycji, podziwianego przez młode i starsze pokolenie miłośników kina, twórcę „Dwóch ludzi z szafą”, „Noża w wodzie”, „Wstępu”, „Miał”, „Nocy

Wampirów”, „Rosemary's Baby”, filmów wslawionych licznymi nagrodami na wielu światowych festiwalach i — co jest ważne — niezwykle kasowych. Polański przeszedł od dłuższego czasu związany był ze środowiskiem spod znaku „Playboya”, w 1968 r., właśnie w klubie przy Park Lane, odbyło się jego wesele z młodą amerykańską gwiazdą filmową Sharon Tate, która zgromadziła szereg londyńskich młodzieżowych artystycznych „znakomitości”. W rok później Sharon Tate została w bestialski sposób zamordowana przez zwolenników Mansona a ich proces poruszył opinię publiczną całego świata.

Rozkrecając produkcję filmową musiał Hefner na początek wystąpić z dziełem, które nadałoby szczególną rangę jego nowemu przedsięwzięciu, a zarazem ugruntowało jego pozycję człowieka działającego w sferze „kultury”. Wybór padł na „Makbeta” Williama Szekspira, a reżyserię powierzono Polańskiemu. Miała to być najbardziej „nowatorska” ekranizacja tej sztuki, szesnasta z kolei, tym bardziej zaś ambitna, że wśród dotychczasowych reżyserów figurowały nazwiska Davida Griffitha, Orsona Wellesa i Akira Kurosawy. Scenariusz opracowywał Polański wspólnie z Kennethem Tynanem, jednym z najbardziej modnych i wpływowych w Anglii krytyków teatralnych, byłym krytykiem amerykańskiego czasopisma „New Yorker”, współtwórcą skandalicznego przedstawienia teatralnego „Oh, Calcutta”, oraz głośnej sztuki Rolf'a Hochbutha — „Żołnierze”, sugerującej niedwuznacznie, że w wypadku generała Sikorskiego maczał rękę Churchill.

W 1971 r., przy ogromnej reklamie prasowej, odbyła się w Londynie premiera „Makbeta”. Krytyka filmowa a także publiczność przyjęła jednak film z nienajwiększym entuzjazmem i, w stosunku do innych filmów Polańskiego, zszedł on z ekranu dość szybko. — bo taki tytuł nadał filmowi polski dystrybutor — zobaczymy niedługo w Lublinie. Poza kilkoma interesującymi pomysłami, jak np. ukazanie głównej pary bohaterów jako ludzi bardzo młodych, mało świadomych następstw jakie wywoła pierwsza wspólnie dokonana zbrodnia, poza nagromadzeniem na ekranie tak modnych na Zachodzie scen gwałtu i makabry, nie wnoszą film Polańskiego nic chyba specjalnie nowego. Natomiast dowodzi, że Polański do perfekcji opanował rzemiosło. Sprawdza się w każdym podjętym przez siebie temacie filmowym. I jeżeli nawet Hefner nie wyciągnął z „Makbeta” spodziewanych korzyści finansowych, to Polański na pewno wzbogacił się o nowe doświadczenia.

(md)



Rys. A. Stok

Odpowiedzi redakcji

M. G. Grudziad. Bardzo miły jest Pan wierszyk o Naleczowie. Nawet jego nieporadność ma swój urok. Z pewnością czytany był w gronie współpatriotów i przyniósł chwilę odprężenia.

M. J. C. Warszawa. Czy nie lepiej było napisać powieść sensacyjną? Wierzę, że ten temat wypadł dość banalnie. Gra właśnie opisanym wydarzeniem, a nie walorami poetyckimi. Coż, powtórz Pan notatkę prasową.

J. F. Lublin. Dam Panu prywatną radę: jeśli Pan nie ma maszyny do pisania, to niech przynajmniej ręcznie pisane będzie łatwo czytelne. Inaczej wywołuje Pan wrażenie, że wcale Panu na druku nie zależy.

J. K. C. Warszawa. To nie jest recenzja. To są wyjątki z cudzych wierszy przeplacone dość zdawkową konferansjerką.

A. D. Toruń. Z niepokojem zapytałem Pani o przyjęcie Jej wierszy, tymczasem są one tak nie własne, tak powtarzane i tak banalne, że nie wiemy, co z nimi zrobić. Tymi łzami, tymi aromatami i tymi samotnościami wyraża Pani tylko niafakosę poetycką. Czym prędzej trzeba zawrócić z tej drogi. Mówić od siebie.

J. M. Garbów. Rzecz w tym, że nie wszystko, co jest w życiu autora, znajduje się w wierszu. Na skutek tego Pan może być dojrzały — wiersze nie.

W. R. Radziwój całkowicie zmienił styl. Są to utwory stylistycznie bardzo już anachroniczne, są dziwne, że wyciągnął z ręki młodego człowieka. Chcielibyśmy otrzymać utwory powstałe z przeżytych zdarzeń, a nie z zastosowania żużliwych szablonów i wzorów.

B. C. Gościaradów. Od przekycia do wyrazu artystycznego droga daleka i bynajmniej nie prosta. To tylko złudzenie młodości: coś młoda wstrząsnęło do głębi, więc utwór literacki już prawie gotów. Tymczasem sam się Pan przekona, jak często właśnie intensywność i beznosność odczucia stają się przeszkodą na drodze wyrażania. Paradoxy? Znajdzie ich Pan więcej, kiedy z większym doświadczeniem przystąpi do pracy literackiej.

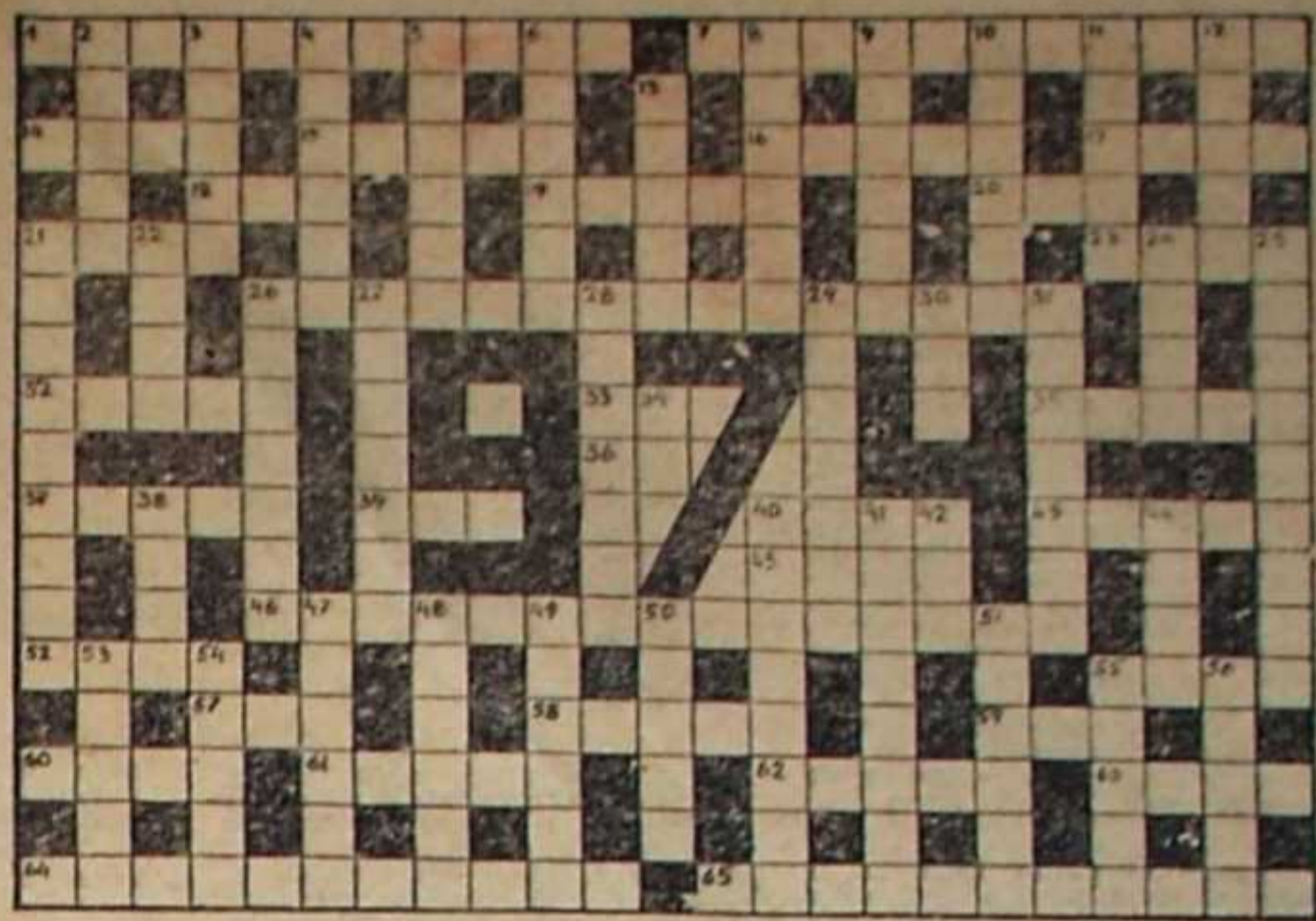
S. C. Leśna Połkowa. Eksperymentalizm formalny nieodczuwany w poezji, jest możliwe przynajmniej pod dwoma warunkami: 1) że nie wyczerpuje całkowicie założenia twórczego, 2) że autor dysponuje już rewizyjnym zasobem umiejętności i poszukuje dla siebie nowych rozwiązań. Inaczej jest wyrazem dowolności i anarchy.

B. G. Bychawa. Rzeczywiście radzimy wysiłki skierować w inną stronę, niż w stronę poezji. Te teksty całkowicie zalet literackich nie są porównawalne, ale może lepiej wypowie się Pan w prozie? Bardzo byśmy byli radzi, gdyby nasza odpowiedź okazała się fortunna.

KRZYŻÓWKA (nr 26)

POZIOMO: 1. republika radziecka, 7. doświadczenie, 14. królewski fotel, 15. kawa górskich owiec, 16. wyodrębniona, materialna część przyrody, 17. bazar, 18. kłopotliwa środkowo-afrykańska, 19. początek biegu, 20. drzewo liściaste, 21. mierzy się w kilogramach, 22. natarcie, 23. okres historii kościoła, w którym powstawały barokowe świątynie, 22. prowadzi samolot lub wycieczkę, 23. zaimek wskazujący, 25. powieść Poli Gojawczyńskiej, 26. symbol ergu, 27. utwór muzyczny na dwie czwarte, 28. przepływa przez Puszczę Goleńską, 29. grecka budowla, która dała nazwę szkole filozoficznej założonej przez Zenona z Kition, 33. u Brzezi jest spłazowa, 45. droga przez rzekę, 46. wysłannik strony wojennej w celu rokowań, 32. mieszkaniec płn. Afryki i pd.-zach. Azji, 53. gawron, 57. pasieka, 58. najstarsze narzędzie służące do orki, 59. najdłuższa rzeka świata, 60. protestancka świątynia, 61. kotleria, 62. piak wodny, 63. uprawa ziemi, 64. jeden z najsławniejszych rzeźbiarzy starożytnej Grecji, 65. przekazanie przestępcy przez jeden kraj drugiemu.

PIONOWO: 2. odbite światło na niebie, 3. stopień wojskowy, 4. jednostka monetarna Portugalii, 5. przepis prawny wydany przez głowę państwa, 6. już nie aplikant, a jeszcze nie sędzia, 8. obudowa mechaniczna korbowego silnika spalnowego, 5. step północno-amerykański, 16. kradzież dokonana przy użyciu przemocy, 11. powieść M. Gorkiego, 12. przepis prawny lub moralny, 13. poeta polski zmarły w 1957 roku, 21. muza tragedii, 22. np. gotyk lub barok, 24. strój sędziowski, 25. nielowy wódz, 26. ostry sos pomidorowy, 27. więcej niż potrzeba, 28. muza gry na flecie, 29. kontrolny ekran telewizyjny, 30. tarcza strzelecka, 31. jeden z pierwszych typów broni palnej, 34. miara powierzchni, 35. tekst przysięgi, 46. bardzo lubiane jedzenie,



41. 800, 42. karta uprzywilejowana, 44. część świata, 47. imię autora „Drogi przez mgłę”, 48. czeska wieś zniszczona przez hitlerowców, 49. odporność psychiczną zespołu, 50. punkt przeciwny zenitowi, 51. utwór muzyczny na jeden lub dwa instrumenty zwykle o 3-4 częściach, 52. zamknięta część gry w brydża, 54. korzeń na barszcz, 55. wodne rośliny, 56. izba mieszkalna.

Rozwiązania można nadawać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem krzyżowki z Nr 26 był fragment wiersza Biernata z Lublina p. „Głupi rad się chepti”:
 „Moc, uroda z wszystką krasą,
 Bez rozumu nikczemne są;
 A co po czyjej wielkości,
 gdy nie ma w głowie mądrości?”

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżowki Nr 24, otrzymano bony książkowe, wartości 40 zł każdy, wylosowali: Tadeusz Truszcza, Parzew, ul. Kolejowa 46, Eugeniusz Tokarczyk, Hrubieszów, ul. Polna 15 m. 28, Władysław Dydyka, Łódź, ul. Czytelnicza 7, Andrzej Grobelski, Lublin ul. Długa 56 m 1.

listy do kamery

„MALOWANE TARGI“

W ziołku z felietonem J. J. Kamińskiego pt. „Malowane targi”, zamieszczonym w 24 numerze „Kamery”, pragnę dorzucić kilka własnych propozycji, które mogłyby — w wypadku realizacji — ustawić ogólnopolskie targi sztuki w Warszawie na racjonalnym, przystoimym poziomie. Jak wiadomo, targi adresowane są do szerokiego kręgu publiczności, ich celem jest wprowadzenie dzieł sztuki do mieszkań przeciętnych Polaków. Jest to naderżadna idea całej imprezy, usprawniająca koszty jej organizacji i doprowadzająca do praktycznej oprawy propagandowej. Tymczasem idea sobie, a praktyka sobie, albowiem niektóre ceny obrazów przekraczają możliwości nawet niezłe zarabiające obywatela. Sądzę zatem, że należałoby ustalić — po konsultacji ze związkami plastyków — górne granice cen. Liczę się z realnymi możliwościami nabywców przeciętnego obywatela. Niech to nawet będą ceny zaniżone — na początek chcieliby, dla zachęty. W tej chwili ludzie kupują rzeczy niższej jakości artystycznej, kierując się nie wolałami estetycznymi, lecz zaręczonością własnego portfela. A naderżadny oryginalny jest jednak czymś ciekawszym, niż nałozona reprodukcja, czy pastel ściany mieszkania.

Marian Konieczny
Warszawa

„CZECHOWICZ MODERNISTYCZNY“

Z dużym zdziwieniem przeczytałem w „Kamery” (nr 23) „sprawozdanie” Z. M. z wieczoru poezji, jaki odbył się w Muzeum J. Czechowicza w dniu 24 października br.

Z.M. przedstawiający się jako rymotwórca „lic-ic”, jak sam twierdzi, tylko dzięki rymowanemu skojarzeniu znalazł się na tym wieczorze i zapewne z tego powodu doszedł do zaiste nieoczekiwanych refleksji. Interpretację poezji Czechowicza, zaprezentowaną przez znaną aktorkę scen warszawskich p. Zofię Matyńczak, określił jako „modernistyczną”, co zdaniem Z.M. całkowicie przekreśla wartość tej interpretacji. Wniosek ten jest tak samo nieoczekiwany, jak porównanie poezji Czechowicza z Majakovskim, czego Z.M. również w swym „sprawozdaniu” nie omisszał dokonać.

Jako jeden z licznych uczestników tego wieczoru uważam, że zarówno nieprzypadkowy i przemyślany dobór tekstów oraz bardzo osobisty stosunek znakomitej aktorki do poezji Czechowicza wydobły i ukazały zebranych tragiczną i bardzo zarazem aktualną wymowę twórczości jednego z najsławniejszych współczesnych bryków polskich. Głębokie skupienie zebranych w czasie koncertu oraz obfite oklaski po zakończeniu nie były zapewne tylko formalnym wyrazem grzeczności. Siedzący obok mnie znajomi twierdzili, że właśnie dzięki interpretacji p. Zofii Matyńczak dopiero teraz potrafili dotrzeć do najgłębszych pokładów poezji Czechowicza.

Jan Zaniecki
Lublin

GDZIE JEST REKLAMA ?

Od pewnego czasu w sklepach lubelskich stoją butelki z sokiem pomidorowo-ogorkowym, produkowanym przez zakłady w Lipnie, w województwie bydgoskim. Jest to napój znakomity, absolutna rewelacja smakowa, a przy tym tani. Tymczasem soczek stoi, nie ciesząc się specjalnym zainteresowaniem klientów. Przyczyną takiego ignorowania są całkiem proste: otóż nalepka na butelce kojarzy się swoją kolorystyką i literaturą z preparatem na insekty, albo z czymś równie obrzydliwym. Takie potrafiamy handlować.

Ot wieśu las toczy się batalia o poprawę estetyki opakowań produktów spożywczych.

przynosząc już pewne oczekiwane rezultaty, czego dowodem opakowania wyrobów Winiar, Padlińskich, coraz ciekawsze kształty butelek do soków warzywnych i owocowych. Do generalnego unormowania sprawy jednak daleko. A przecież wiadomo, że nasze znakomite przetwory roślinne są często wypierane na rynkach zagranicznych przez niewątpliwie gorsze wyroby firm zachodnich, albowiem te ostatnie posiadają atrakcyjne, wabiące klienta opakowania.

Joanna Lewińska
Lublin

SZNUR SAMOCHODÓW

Obecnie Lubelszczyzna zajmuje jedno z ostatnich miejsc w kraju pod względem liczby samochodów prywatnych, przynajmniej na tysiąc mieszkańców. Prognozy przewidują że około 1990 roku będziemy zdecydowanie na ostatnim miejscu, co mnie osobście wcale nie martwi, przeczenie — cieszę się. Ostatecznie wdychanie spalin nie należy do przyjemności, a posiadanie miejsca na parkingu niższy nerwy.

W samym Lublinie sytuacja przedstawia się zgola inaczej i choć nie dysponuje danymi natury statystycznej, mogę stwierdzić, że mało jest miast w Polsce, w których, tak jak w naszym mieście panowałby większy tłok na leżni. Szczególnie kłopoty sprawia kierucom śródmieście, poprzecinane wąskimi uliczkami w zasadzie porzucone parkingów. Przypuszczam, że za rok — dwa zanarokowanie samochodu w śródmieściu miasta będzie sprawą ogromnego szczęścia i niebywalej trudności. Na pewno zaczęły mnożyć się wypadki drogowe i uliczne pułki między kierowcami. Czy rozwiązać problem parkingowy planowane wzdłuż trasy W-2? Ważne, bo to jest wyjście na krótką metę. Dobrze by było, gdyby odpowiednio wydziały Prezydium MRN urządziły otwartą dyskusję nad tym problemem, z udziałem użytkowników samochodów. Może wspólne rozpatrzenie trudnego zastożenia podsunęłoby realną i skuteczną drogę wyjścia z sytuacji?

Kazimierz Górski
Lublin



Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
 Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mike'ski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirona Derick, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Ireneusz Komosa, korektor — Ewa Dvbel.

Cena prenumeraty rocznej: 18 zł (z przesyłką) 20 zł kwartalnie 18,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i kościelne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW. — Warszawa — „Ruch” — Pozostałe — mające siedzibę na ul. lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmują: RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 33, 60-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Uniska 4. Zam. 3022, 10 XII 73, G-4.

Numer łamal: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35. Nr indeksu 26-60

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-03, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nieprawdą jest, jakoby Lublin nie miał szczęścia do kabaretów. Nieprawdą jest, jakoby w Lublinie „Klika” nie miała nie do gania. Ci, którzy tak twierdzą, prawdopodobnie chcą, by w Lublinie nie było nic ciekawego. Przynajmniej z kabaretów. Będą mieli z czego żyć. O konkretnych można tylko raz, konkretnie nie wolno powtarzać. O pustce można w nieskończoność. Papier jest cierpliwy, czytelnik lubi palowania. Przy ostrym strzale trudno jest zamieszkać zdęcia. Wniosek: nie zarobi fotoreporter. I tak źle i tak niedobrze. Istnieje przynajmniej obawa, że Klika się zakłóci i da po głowie. Istnieje również pocieszająca myśl, że jest klika i „Klika”. Między dwoma, o wspólnej nazwie, stowarzyszeniami, zawsze muszą istnieć rozbieżności. W nadziei pocieszycielka — pobija się między sobą.

1. „Klika” to nazwa kabaretu. O kliki nie było, nie ma i nie może być w mieście mowy. Tak przynajmniej sugeruje „Klika”. Trzeba sobie szczerze powiedzieć, że dwuznaczność wypływająca z jednoznaczności, bądź jak kto woli odwrótnie, jest nieco schizofrenicznym procesem. Wszyscy wiedzą, że jest, tylko skąd się bierze — zagadka dla naszych wnuków. Jeśli poradzą sobie z klika, niczym będzie dla nich schizofrenia. Nam musi wystarczyć „Klika”. Ciekawe, jak często duża literatura i konformistyczny cudzoziół rozwiązuje wiele problemów? Za to, że drukarz ominie go w dru-

karni, dziennikarz może iść do ciupy. „Klika” posługuje się cudzoziółem i dlatego bohaterowie jej tekstów siedzą na widowni, mają zadowolone gęby. Prezes X cieszy się, że nareszcie załatwiono tego (siedzi obok) skubańca i vice versa.

2. „Klika” stworzyli aktorzy Teatru im. Juliusza Osterwy. Ich nazwiska podawała już prasa. Uważam, że jest to duża nieostrożność. Przypadkowo może się zagubić w drukarni cudzoziół, chociaż i bez niego sól nie traci swojego smaku. A wszyscy wiedzą jaki smak ma sól.

4. Andrzej Kowalski opowiada swój zyciorys. Jest to zyciorys

„lupawczyka”, któremu coś lupie w tylnej części głowy. Inny Andrzej mówi z widowni, że Kowalski opowiada swój autentyczny zyciorys. Może i Kowalskiemu lupie, ale to jest dobre lupanie. To lupanie udzieliło się i jego kolegom tworzącym „Klikę”, znać, że dostregli pustkę tej pustki, jaka w Lublinie odwiedza pewne miejsca. Edwin Petrykat mówi o tej pustce obojętnie. A należałoby mówić płacząc. Mówienie stworzyło „mówczyka”, a płacz rozwał mury. Nablizszym skojarzeniem są mury jerychońskie. Trzeba przyznać, że trąby mają w sobie coś z płaczu. Żalostnego.

5. Zbliża się II Lubelska Giełda Piosenki w Polskim Radiu. Do Giełdy można z dwu stron: przedstawić jedną z kompozycji Kowalskiego i zwinąć pierwszą nagrodę, można też powtórzyć zdanie „Kliki”, że w innych miastach jurorzy znają wcześniej wyniki, a u nas nie. Hurra — optymizm jest w tym miejscu uzasadniony, gdy idzie o Lublin.

Bo ja mam w jednym mieście takiego koleżę, który ma 11,5 pseudonimów artystycznych i jest kryty, zwłaszcza gdy instytucje dają się naciąć i biorą go jako przewodniczącego jury. Wiłk syty, naladowany nagrodami i owieczka cała. Zdaniem „Kliki” klika syta i odkliczeni a zakliczeni cali.

Fot. J. Trebecki

GR

minuta myślenia

Co to jest reportaż?

W SFERACH dziennikarskich u siebie przekonanie, że gawędziarz zwanym reportażem stał się wykorzystywany kopciuszkiem, że nie ma bodźców sprzyjających rozwojowi tego rodzaju twórczości, że reporter to niemal Don Kichot walczący z wiatrakami przeciwnostw społecznych i redakcyjnych. Może to i prawda, w każdym razie lektura czasopism utwierdza w innym przekonaniu. W tym mianowicie, że tzw. literatura faktu wymieniać daje sobie radę w rywalizacji z innymi gatunkami dziennikarskimi i nie tylko dziennikarskimi. Wystarczy rzucić okiem. Jerzy Lovell pisze cykl o wsi, chłopski temat podejmuje również Wojciech Adamiński, Tadeusz Konwicki — jak sam zapewnia — zanurzył rękę w Oceanie Atlantyckim, a nogę w Spokojnym, z czego powstał cykl „Ameryka, Ameryka”.

Kapitałna kwestia to fikcja literacka w reportażu. Kapitałna przez swą paradoksalność. Bo jeśli reportaż ma być dokumentem, to przy

użyciu fikcji literackiej co niniejszym dokumentujemy? Jeszcze nie tak dawno przy przewadze reportażu werystycznego, ani mowy nie było o istnieniu podobnej kwestii, dziś się ją stawia. Stawia się i rozwiązuje w następujący sposób:

Istnieje prawda literalna posunięta aż do dosłowności w zakresie dziesięciordnych szczegółów i ta jest niepotrzebna, bo nie mówiąca o rzeczywistości — i istnieje prawda „syntetyczna”, ujęta skrótowno, podająca tę rzeczywistość w skondensowanej formie. Dzisiejszy reportaż opiera się na tym drugim założeniu. Pięknie, ale nawet przy pierwszym fikcji literacka nie jest wykluczona. Na przykład zdanie „Kowalski zreszcie uchwycił trzonek łopaty” już może być uściślone, ponieważ reporter nie tkwił w systemie mięśniowym Kowalskiego, by ten fakt ponad wszelką wątpliwość stwierdzić. Na dobrą sprawę reportaż — w ścisłym tego słowa znaczeniu — jest niemożliwy.

Melchior Wańkowicz, którego wojennych reportaży nie lubię, ponieważ nie opisują, lecz szninkują rzeczywistość opowiada o sposobie tworzenia „syntetycznego” bohatera reportażowego składającego się z kilku istniejących postaci. Ma rację jeśli obrabiał taką metodę, nie ma — jeśli widzi w tym trudność. Zacytujmy ze wstępu „Od Stołpców po Kair”:

„Na przykład: przygody w kampanii wrześniowej określonego osobnika; potem szukam ucieczki przez granicę, bo ten, co ciekawą rzecz w kampanii przeżył, wcale przez granicę nie szedł. Dopasowuję szereg istniejących wrzeszczących pasuje; ale w tym blyszczy tylko zdarzenie szczytowe, tylko przejście granicy, potem już ktoś spędził resztę wojny w sztabie; teraz dla kontynuacji szuka się lotnika; bliższy w tym pamięć jego życia chwila, kiedy przebiegał się przez barierę ogniową nad Hamburgiem, ale stracił

rękę, a mój zbiorowy bohater nie jeszcze pracować na emigracji, szukamy nowego pasemka, ale z dobieraniem jest coraz trudniej, bo najprzód jedno pasmo pasuje tylko do pierwszego, potem musi pasować do dwóch, potem do trzech; znałbyśmy, ale chciałoby się, aby ten bohater wrócił do Polski, a tymczasem ten czwarty prototyp o tym nie myśli, trzeba szukać piątego; już coraz trudniej przypasowywać do tylu elementów”.

Czy Wańkowicz nie widzi, że popełnia błąd logiczny? Przecież wyznaje, że jego metoda jest tworzenie syntetycznych zyciorysów, więc po prostu z pana A bierze udział w kampanii wrześniowej, z pana B ucieczkę przez granicę, z pana C lot nad Hamburgiem i z pana D powrót do Polski i w ten sposób powstaje mu jeden Kowalski, który jest pełną ilustracją polskiego losu w drugiej wojnie światowej. Gdzie tu trudność? Jeśli natomiast któregoś z panów od A do D reporter nie znajduje, w ogóle nie rodzi się Kowalski i tym bardziej trudności nie ma. Wańkowicz pisząc o reportażach postąpił jak w swoich reportażach: sfingował zjawisko.

Z dużym natężeniem zainteresowaniem przeczytałem dokumentalną powieść Jerzego Putramenta „29 lipca”. Cała warstwa psychologiczna jest tak dokładnie uwiderytelniona wydarzeniami, że nie czuje się ręki autora. Ba — udziela się autorowi placet na większy zamach pióra, tak potrafił przekonać o autentyczności przedstawionych szczegółów i tak dalece pragniemy poszerzyć nasze spojrzenie na sytuację niemieckiej generacji pod koniec drugiej wojny światowej.

Natomiast — o dziwo — „Rapunula”, która jest tylko relacją, mniej przekonuje autentyzmem. Więc niech sobie ten reportaż trochę pobuja, byle był ciekawy.

Ijon

Czesław Twardzik O MGIÉŁKĘ

Nie wiem, czy to już przykaz wieku, Głos intropatii czy urazu, Fakt, że nie lubię znać sekretu Colego z góry i od razu. Natomiast chciałbym (nawet we śnie), Zeby ciut skromniej, nie za wcześnie.

W TV piosenki — a więc słucham. Karm duszę moją, muzo szcudra. Tymczasem widzę taniec brzucha i kończyn gładkość aż po biodra. Więc jakoś to inaczej róbicie, Bo chodzi tu o głos — nie pupcie.

Przed prapremierą „Faraona” Oglądać mógł w anonsach kto żył Kosze głów, nagi i ramiona Odcięte w bitwie (wszystko z tworzył). I efekt przysnął, bo go spłoszył Ktoś od pomysłów — z głową w koszu.

W kronice dali: Ćwicz Gruca (To znam ze zwierzeń pani Zosi). „Wie pan, gdy widzę jak on kuca, Męczy się, kręci wokół osi, To już nie wrzusa mnie treść dzieła, Lecz każdy miesiąc u Romea”.

Na kim wrażenia nie wywarła Ewy Demarczyk „Na Awinion”? A tu kamera u jej gardła W hipopotama zmienia mi ją. Więc po co, pytam to zbliżenie? (które skądinąd przecież cenie...)

W obronie mgiełki wnoszę protest. Nie objawiajcie nam tych peruk, lup, zbliżeń, tworzyw, szminek, protez, Magicznych różdek, kaskaderów. A za Tępisem powiem prościej: Nie rozbebeszczaj intymności.

Bo mówiąc szczerze między nami, Przywykliśmy do ździebka błogi: Ze ten cylinder z kółkami... Ze król (lub inny szef) jest nagi. Lecz tych od mgły uchroni za to Historia albo prokurator.

WALERIA SULIMA

POSTE RESTAURANTE

SMIAK

MIAKOŚCI I KEZ

Nastroj „Powszechnej” (ostatnio znów w remoncie, ale akcja łoczy się wcześniej). Przy stoliku: Krzysztof i Mariusz. Krzysztof nie jest nową postacią; odwiedził kiedyś Barbarę i tam poznał go Mariusz. O czym rozmawiają? Ba! Akcja naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante” nabiera nowego wyrazu (nie mylić z pismem o tym samym tytule! — przy okazji reklama).

(31)

— Skąd wiesz, że macie razem z Niną studiować? — spytał Mariusz. Sytuacja zaczynała go intrudować.
— Oj, nie znasz naszego miasta? Kichniez na Tatarach, a na LSM-ie odpowiedzą ci „na zdrowie”.
— Nie wiem, czy odpowiedzą. Uprzejmych ludzi nie mamy znów tak wielu...
— Ale ja należę do tych uprzejmych! Chętnie bym cię zamalował za to, że nazwałaś mnie bezczelnym. Ale szybko mi złość przechodzi. Nie zardroszczę zresztą tobie. Wpokołaś się w niezłą historię.
— A co to ciebie obchodzi?

— Wypijmy po kieliszku. — Kelner zjawiał się nadspodziewanie szybko.

Kieliszek czyste nieco uspokoił Mariusza. Ponieważ wypił już przedtem, czuł, że alkohol zaczyna działać.

— Nie znasz długo Barbary — powiedział Krzysztof. — Wydaje mi się, że wcale jej nie znasz. Ale, jeśli się nie myle, potrafisz ci zakręcić w głowie. Mogę wiedzieć, kiedy wasz ślub?

— W ten sposób nie będę z tobą rozmawiać. — Mariusz uczynił ruch, jakby chciał wstać z krzesła.

— Ale ty jesteś to gorącej wodzie kąpany! Nawet na żartach się nie znasz!

— Na głupich na pewno nie... — Czekał, pogadamy jak kumple. Między nami, męzczyznami... Ale sztaba!

Krzysztof znów napelniał kieliszki.

— Strzelmy jeszcze po jednym. Lepiej się będzie go dało.

Gdy wypili, Krzysztof wyciął z kieszeni jakiś list.

— Znasz ten charakter pisma? — zapytał Mariusza.

— Nie. Skąd mam znać?

— To list od Barbary. Przeczytaj.

— Nie mam w zwyczaju czytać cudzych listów.

— Chcę ci oczy otworzyć. Czytaj, nie potulaj się. Mariusz wziął do ręki kopertę. Litera skakały mu przed oczyma.

— Krzysztof — śledził tekst listu — mogę w tej sprawie zwrócić się do ojca i wiem, że mi pomoże, ale dlaczego ty masz mieć wszystko z głowy? Wszystko załatwie z lekarzem, już w tej sprawie rozmawiałam, chce tysiąc złotych. Więc wystaraj się o tę forszę do poniedziałku. Mogę ci zrobić taki skandal, że ciebie z budy wygnają. Mnie tam na niczym nie zależy, mogę ci nawet podrzucić pod drzwi zawiniątko, ale nie wiem, czy tenol starzy bardzo się z tego ucieszą. Clau, Balbino. Twoja słodka Basia.”

— No, wiesz teraz, jaki z niej numer? Mariuszowi krew uderzyła do głowy.

— Nie — zawołał. — Nie! Tego listu nie pisała Basia!

— Widzisz, jaki ty jesteś głupi! A ty myślałeś, że co? Cnotkę znalazłeś? Ona taka, jak jej matka. Obie się dobrały. Więcej ci powiem. To był zwykły szantaż. Udawała, że jest w ciąży, żeby tylko kilka złotych wycygnąć.

Mogę cię pocieszyć, ja też byłem ostatnim durniem i nie pieniądze jej dalem. Skąd miałem? Nie ukradłem przecież. Koręptycje... Ale to jeszcze nie wszystko. W taki sam sposób wydebiła drugi tysiąc od mego kumpla.

Mariusz chciał, aby to był koszmarny sen. Ale to była jawa. Nie mógł jednak uwierzyć w prawdziwość tych słów.

— Mogę ci w każdej chwili ten list udostępnić, porównasz charakter pisma. Poprosz Barbarę, aby skreśliła kilka słów. Nawet nie będziez musiał chodzić do grafologa...

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego podchodziłeś dzisiaj do stolika, dlaczego w ogóle z nią jeszcze rozmawiałeś?

— Bo dopiero dzisiaj się wszystkiego dowiedziałem. Poprosiłem ją do tanca, aby na osobności jej o tym powiedzieć. A najchętniej wystrzelalbym ją po pysku. Ale ty byś ją zaraz wziął w obronę i dopiero byłaby awantura. Póbulibyśmy się o taką szmatę. Skoda pięści.

Krzysztof urwał. Przez chwilę milczał, a potem dotknął niespodziewanie:

— Myślisz, że to już koniec? Na jednym tygodniu jedziemy. Dostawie to nie ze mną jedziesz, ale z moim starym. Ojciec Barbary, ten cholerny hochstapler, też go naciągnął. Na 20 tysięcy złotych. Będzie te pieniądze ogłądał, jak sobie namaluje. Do diabła jednak! Coś trzeba wspólnie wymyślić. Wiesz co? Wpadnij do mnie, porozmawiamy z moim ojcem. To klawy facet, tylko trochę niedojda, jak i ty. Zbyt ufa ludziom i wchodzi na tym, jak Zabłocki na mydle. No to co? Wypijemy jeszcze po jednym?

Mariusz nie wiedział, czy to głowie szumiała mu wódka, czy też te przerażające wiadomości, które usłyszał od Krzysztofa, zupełnie zmączyły mu umysł. Jeszcze miał odrobinę nadziei, chciał ją mieć, że Krzysztof mówił tak przez zawiść, że to wszystko jest nieprawdą. Krzysztof to wczuł.

— Wiesz — powiedział — abys miał całkowitą pewnością, pójdziemy do automatu i ja zatelefonuję do Barbary. Nadstawisz ucho do słuchawki. Czyba poznasz ją po głosie?

jedną